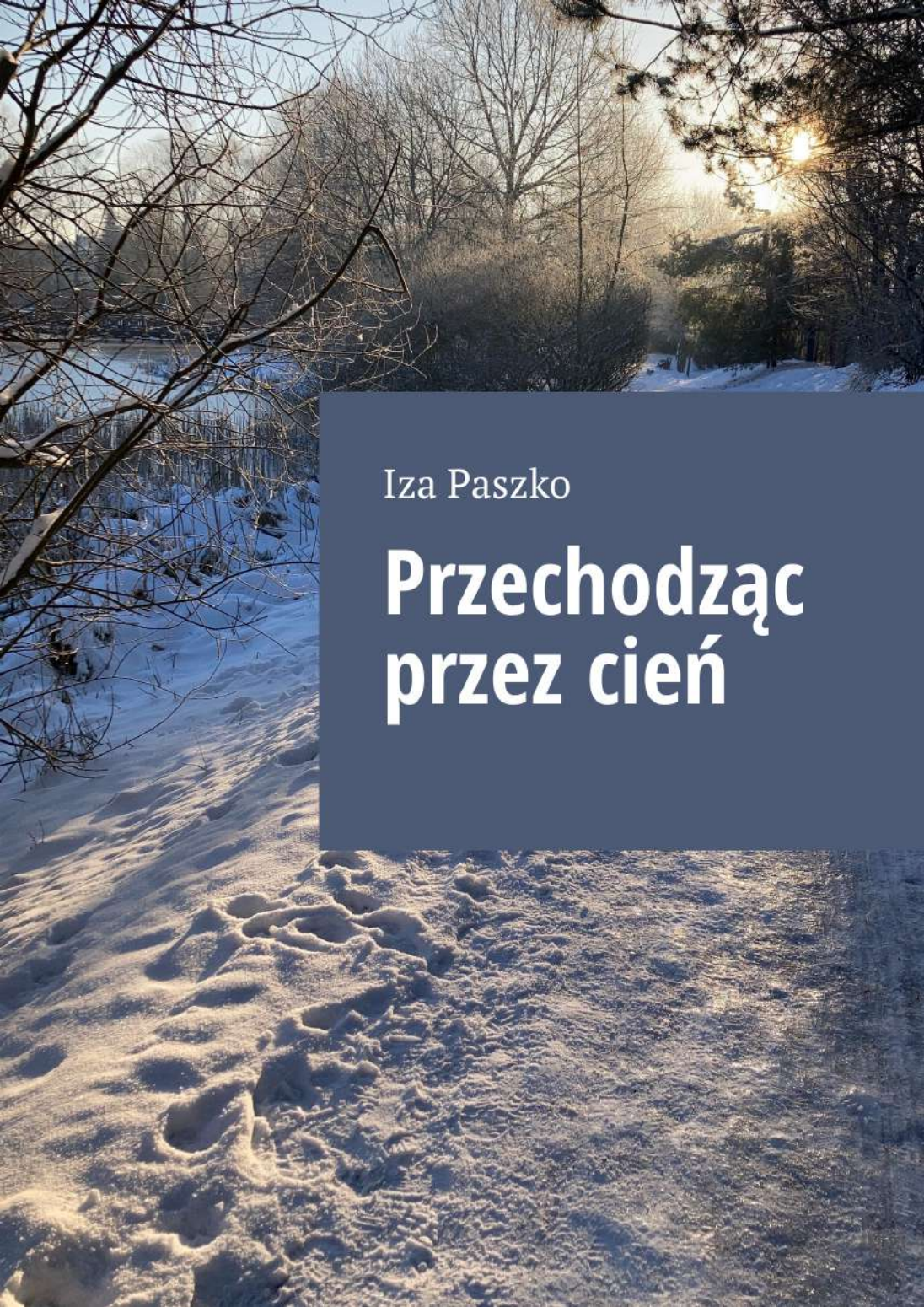


A photograph of a winter landscape. In the foreground, a snowy path is marked with footprints. To the left, bare tree branches frame the view. In the background, a line of trees is silhouetted against a bright, low sun that creates a hazy, golden glow. A dark blue rectangular box is overlaid on the right side of the image, containing the author's name and the title.

Iza Paszko

Przechodząc przez cień

Iza Paszko

Przechodząc przez cień

2025

© Iza Paszko, 2025

© Aleksandra Paszko, fotografie, 2025

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

WSTĘP	5
POCZĄTKI WSZYSTKIEGO	7
MAMA I TATA	7
NASZA BABCIA I DZIADEK	12
NAUKA	15
PORCELANA W DŁONI	17
ŻYCIE PRZECIĘTE JAK DRZEWO	19
CIECIORKA	21
WSZYSTKO PRZEZ TO	24
MIREK	26
JAREK	27
STUDIA	29
ZMIANA	32
ODDZIAŁY	34
LEKCJE I RYSUNKI	34
DZIEWCZYNY	36
ŁZY	41
NASZE ŁZY	42
CHIRURGIA	44
HIOB	45
„WOLNOŚCI ODDAĆ NIE UMIEM”[10]	46
ŁAŃCUCHY	48
DAREK	49
JAGODA	50
ONE DWIE	51

GAZ I WODA	52
NIE OSTATNIE	53
ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI MEDYCZNEJ	54
TAK NIEWIELE	59
DARIA	60
WSZYSCY	60
Z NICH ZAŚ NAJWIĘKSZA JEST MIŁOŚĆ-Kor13,13	61
MIŁOŚĆ NIELATWA	64
DAWID	64
PAMIĘTNIK	65
PUZZLE IOOO	68
TY PÓJDZIESZ GÓRĄ	69
KOCHAJ PIĘKNIE	73
ZUPA I CHLEB	74
WYBRANY	78
WYBRANA	79
RZECZ WZGLĘDNA	81
DZIEŃ I NOC	82
MARZENIA GOSI	85
WYGNANIE	88
MARZENIA PANA JANA	91
AGAWA I MIŁOŚĆ	93
PODZIĘKOWANIA	96
BIBLIOGRAFIA	97

WSTĘP

O tym co dobre, piękne i trudne nie można zapomnieć. Zebrałam wspomnienia z pracy w zawodzie fizjoterapeuty, a także z życia prywatnego, w takim zakresie, jaki wiązał się z kształtowaniem mojej osobowości jako człowieka i medyka. Niektóre z nich opisują wiele lat, inne związane są z jednym wydarzeniem, wspominam zwykłe dni, chwile radosne i bardzo smutne. Jestem wdzięczna wszystkim spotkanym osobom: najbliższym i rodzinie, nauczycielom, rówieśnikom, znajomym oraz pacjentom i o nich przede wszystkim chciałam pisać. Imiona większości pacjentów zostały zmienione. Prawdziwe imiona zachowały osoby, które na to się zgodziły oraz osoby udzielające wywiadów w mediach. Pierwsza część zawiera pewien porządek chronologiczny, kolejne części są to nie związane ze sobą historie moich pacjentów i koleżanek, które można czytać w dowolnej kolejności.

Opisuję często cierpienie i trud, ale nie tylko. Zwracam uwagę na Dobro i miłość w otoczeniu cierpiących ludzi, miłość niełatwą, która jest miarą Człowieczeństwa.

Każdy z nas przechodzi przez cień wiele razy w życiu, ale każdy cień ma swoją granicę, za którą jest światło.

Pracę tą dedykuję naszym córkom oraz młodym z obu rodzin, mojej i mojego męża. Niech młodzi cieszą się Dobrem, tworząc je i przekazując.

POCZĄTKI WSZYSTKIEGO

MAMA I TATA

Dom to było małe, przytulne mieszkanie w Gdyni Chyloni. Miałam swój pokój, koleżanki i podwórko. Byłam szczęśliwa w dziecięcym rozumieniu tego słowa, czułam się kochana przez rodziców. Gdy mama pracowała w domu, mogłam przyjść do niej o każdej porze. Ona była dla mnie najważniejszą, ukochaną osobą.

Ona nauczyła mnie codziennej modlitwy przed obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Ona uczyła mnie samodzielności, prania, sprzątania, szycia, zakupów i przygotowania obiadu.

Lubiłam być w domu z mamą, jeść z nią na obiad poznańskie pyrki z gzikami i bawić się do woli. Jednak nie zawsze było tak dobrze. Mama chorowała i musiała przejść kilka operacji. Gdy była w szpitalu, modliliśmy się z tatą o jej zdrowie. Nieraz słyszałam, jak rodzice rozmawiają o czymś nerwowo, czasem mama płakała, ale zawsze potem się godzili. Niedługo mogłam

cieszyć się obecnością mamy w domu, gdyż musiała pracować w swoim zawodzie inżyniera chemii. Wtedy tej konieczności nie rozumiałam, po prostu tęskniłam i już po obiedzie wypatrywałam jej przez okno. Najmilej wspominam wspólny czas z mamą i tatą, spacer po lesie, wyjazdy, prace domowe i wypoczynek. Czułam się kochana nie tylko przez rodziców, ale także przez babcię Walę i dziadka Arkadiusza. Pamiętam też miłość babci Irenki i dziadka Antosia, którzy ściskali mnie w objęciach, gdy stawałyśmy w progu ich domu po długiej podróży pociągami. Tak samo kochali i witali nas prababcia Maria i pradziadek Stanisław. Nie wiedziałam jeszcze długo kim będę w przyszłości, ale dzieciństwo dało mi podstawy światopoglądu

Dowiedziałam się, że jest Bóg, który wszystko widzi i trzeba się do Niego modlić i że trzeba być dobrym dla ludzi. Wiedziałam, że powinno się o wszystko dbać i naprawiać to, co się zrobiło źle, przeproszać i pomagać potrzebującym. W czasie szkoły podstawowej odwiedzałyśmy z koleżanką starszą panią, która potrzebowała pomocy w zakupach i sprzątaniu. Robiłyśmy to bezinteresownie, gdyż takie wartości głoszone były w szkole, na lekcjach religii, a w programie „Teleranek” i w czasopiśmie „Świat młodych” propagowano ideę „Niewidzialna Ręka”. Wierzyłam, że człowiek może być szczęśliwy, ale powinien na to szczęście zapracować, dbać o nie i dzielić się nim z innymi. Wiedziałam już, że na świecie jest cierpienie i zło, ale byłam przekonana, że dobro może to zmieniać...

Tatę zawsze podziwiałam za jego wiedzę zawodową i ogólną, za wrażliwość na dobro i zło, za pasję z jaką opowiadał o swojej pracy. Medycyna i praca przenikała jego całe życie prywatne. Dla niej wstawał o piątej rano, o niej opowiadał

przy obiedzie, o niej czytał, pisał, o niej rozmyślał, dla niej jeździł na zjazdy, dzięki niej miał ciekawe życie i wiele problemów... Można powiedzieć to samo o jego miłości. Kochał rodzinę, a dla pacjentów był pełen empatii, miłość ta wypełniała jego życie. Potrafił spędzić wiele godzin, zarywać noce studiując trudne przypadki, aby wyjaśnić jakiś problem. Pewnego dnia przyszedł do gabinetu pacjent z diagnozą nowotworową, który już miał skierowanie na usunięcie galki ocznej. Ojciec go zbadał i coś mu nie pasowało w sprawie tej diagnozy. Powiedział, aby jeszcze się wstrzymać z usuwaniem, bo musi coś posprawdzać. Poczytał, poszukał i w końcu zadzwonił do załamanego pacjenta- „Proszę pana, to Nie jest nowotwór”.

Pacjent zaniemówił, a potem pytał jeszcze kilka razy, czy na pewno i co ma teraz zrobić z tym skierowaniem na usunięcie oka. Tata na to — „Podrzyć, wyrzucić i cieszyć się życiem.” Oddział okulistyczny był jego miejscem samorealizacji, a do najpiękniejszych chwil zaliczał te, gdy pacjent po zdjęciu opatrunku, mówił;

„Ja Widzę!”...

Tata bardzo lubił być w pracy, a będąc w pracy, najlepiej czuł się jako operator. Mówił, że przed każdą operacją modli się, myjąc ręce. Jego ulubionym miejscem wypoczynku był Garcz, wieś w gminie Chmielno. Choć mógł bywać na urlopie za granicą, to jeździł tam tylko na zjazdy, albo w sprawach rodzinnych. Na wypoczynek wybierał Garcz. Nie zapomnę tych wieczorów i poranków garczowych. Wpatrywaliśmy się w niebo pełne gwiazd... Wstawał wcześniej, aby słuchać śpiewu ptaków, pijąc kawę na tarasie.

Co roku w dniu moich urodzin, który był zarazem Dniem Ojca, robiliśmy bukiety o poranku. Tata dla mnie, a ja dla Niego. Lubiliśmy wspólną pracę przy domku i pływanie w jeziorze wpraw albo łódką. Lubiliśmy długie rozmowy o życiu. Tata stopniowo zarażał mnie medycyną. Bardzo lubił słowa papieża św. Jana Pawła II – "Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali." [2] Te słowa stały się filarem mojego życia. Pacjenci bardzo go szanowali i lubili z nim rozmawiać. Tata cieszył się tym, traktował ich ciepło i z szacunkiem. Cieszyły go sukcesy zawodowe. Był jednak świadomy swoich słabości, bo miał ich wiele jak każdy człowiek. Bardzo lubił wiersz znanego nam poety Sergiusza Riabinina – "Gdy przyjdzie pora moich żniw, rachunek będzie prosty, kłosa i ziarna Twoje są, a moje perz i osty." [3]

Niestety pora żniw taty przyszła za szybko, miał jeszcze wiele planów. Mówił – „Będę wnuczki rozpieszczał, bo mam prawo”, uśmiechał się przy tym tajemniczo. Umarł, gdy miały 2, 4 i 6 lat. Kilka tygodni po jego śmierci, tata przyśnił mi się. Zadzwoił do mnie przez telefon... Tatusiu, gdzie jesteś? – zapytałam. On odpowiedział – „Ja jestem w Garczu, tu mnie znajdziecie.”. . Może tata chciał nam przekazać wiadomość, że po tej drugiej stronie życia dostajemy wymarzony urlop? Zostawił nas za szybko, mama długo chorowała, pogrążona w żałobie. Nieraz tata śnił jej się bardzo wyraźnie, za każdym razem był spokojny albo uśmiechnięty. Mamie zawdzięczam wiele lat pomocy wszelkiego rodzaju, gdy dzieci były małe, a także później, gdy wchodziły w dorosłe życie.



fot 1

NASZA BABCIA I DZIADEK

Babcia Wala i dziadek Arkadiusz — tyle lat już minęło, a wiele wspomnień jest tak wyrazistych, że aż czuję zapachy ich domu w Gdyni. Zapach maści przeciwbólowych, wełnianych narzut i wileńskich potraw. To był dom tętniący życiem, zawsze był tam ktoś jeszcze, często ja i mój kuzyn Paweł, raz na kilka lat moje kuzynki z Ameryki Olga i Naomi i inne spokrewnione osoby. Były to kobiety do których mówiliśmy ciociu, między innymi ciocia Marysia, Krysia, dwie ciocie Ewy, ciocia Danuta i Krystyna, Jola, siostra Czarka oraz Natasza, wujkowie Zygmunt, Tadzik i Czarek, oraz ich dziewczyny, potem żony (Kasia i Gabrysia). Częstymi gośćmi byli lekarze okuliści i inni specjaliści, przyjaciółki babci, osoby wdzięczne za pomoc, Ola i jej mama, pacjenci, osoby duchowne, państwo Riabininowie, kapitan Borchardt i wiele innych ciekawych osób.

Babunia kochała nas, a innych ludzi lubiła, szanowała i pomagała jak mogła jako człowiek i jako okulista. Dziadka uczucia do ludzi były równie ciepłe, jak babci. Nie zapomnę jak wychylał się przez okno, aby dać dzieciom z podwórka cukierki i drobniki. U nich spędzaliśmy noce, gdy rodzice szli na imprezy. Babcia i dziadek zabierali mnie do Dębek, gdzie były „zaprzyjaźnione” Siostry Zmartwychwstanki. Chodziliśmy tam na długie spacery brzegiem morza do Piaśnicy. Dziadek nosił małe, składane krzeselko, na którym czasem siadał. Bardzo lubiłam te spacery. Do tej pory spacer brzegiem morza jest moją najlepszą formą czynnego wypoczynku... Gdy miałam 10 lat, nasz kochany dziadek Arkadiusz zmarł na zawał, jadąc z babcią do Dębek.

Babcia została wdową w wieku 60 lat. Zaczęła się dla niej najtrudniejsza część życia. Musiała sama troszczyć się o wszystkie sprawy domowe, którymi wcześniej zajmował się dziadek. Pracowała jeszcze ponad 20 lat. Musiała podjąć się niełatwego zadania, podziału dorobku życia pomiędzy synów, których sytuacje były różne. Wyciągała ich z kłopotów w jakie się pakowali, gdy byli młodzi. Potem oni jej pomagali, każdy na swój sposób. Mimo trudów życia i wielu dolegliwości, babcia nie utraciła swej energii życiowej, pogody ducha i poczucia humoru, otwartości na problemy wszystkich, którzy się z nią kontaktowali, wspierała finansowo osoby niepełnosprawne, niewidome, misje, kościół parafialny. Babunia zawsze uważnie słuchała zwierzeń osób będących w rozterkach moralnych i dobrze doradzała. Oprócz nas, jeszcze inne osoby nazywały ją babunią i ciocią, a zakonnik ojciec Bruno, duszpasterz niewidomych, nazywał ją — mamą. Babcia bywała (czasem ze mną) na spotkaniach opłatkowych z niewidomymi, na nabożeństwach, rekolekcjach i wyjazdach towarzyskich. Od czasu liceum odwiedzałam babcię 2–3 razy w tygodniu ucząc się od niej Wielkiej Sympatii do ludzi. Po trzeciej klasie liceum, postanowiłam iść do pracy w czasie wakacji, aby zobaczyć, czy praca w szpitalu jest moim powołaniem. Wahałam się między zawodem lekarza, a pielęgniarce. Zawodu fizjoterapeuty jeszcze nie znałam. Podjęłam pracę na chirurgii kobiecej w szpitalu miejskim w Gdyni jako salowa. Była to praca bardzo ciężka fizycznie i psychicznie, gdyż do salowej należało nie tylko sprzątanie i mycie naczyń, ale także mycie chorych, wynoszenie basenów i czyszczenie ich, dźwiganie pacjentek w celu zmiany pościeli. Nieraz trzeba było odwrócić materac,

jeśli przemókł, bo nie mieliśmy pampersów ani podkładów, jakie są teraz. Wychodziłam z pracy bardzo zmęczona, długo czując zapach żółci, miałam siłę tylko na tyle, aby wrócić do domu babci.

Pewnego dnia, idąc ulicą Świętojańską, zobaczyłam na wystawie sklepu medycznego książkę „Fizjoterapia” pod redakcją prof. Weissa [4]. Kupiłam ją i czytałam u babci przez kilka dni. Już po pierwszym dniu wiedziałam, że to jest zawód dla mnie.

W czasie Studium Fizjoterapii starałam się pomóc babci w bólu barków i stóp poprzez ćwiczenia i masaże. Próbowaliśmy wielu maści przeciwbólowych, okładów z chrzanu lub kapusty. Robiłam babci soki z selera. Cierpiała ona na zespół bolesnego barku, cukrzycę z zespołem stopy cukrzycowej, zaćmę, przeszła wiele operacji. Nic z tych cierpień nie zmieniło jej radości z powodu licznych kontaktów, zrywała się do każdego telefonu i dzwonka u drzwi. Starła się każdemu pomóc jak mogła. Przyjmowała wszystko, co życie niesie z wiarą, która nie analizuje zbyt wiele, lecz zawiera swoje życie Bogu ufnie, jak dziecko rodzicowi. Wielkim ciosem była dla niej śmierć syna(mojego ojca), ale i z nią się pogodziła, wierząc w życie wieczne. Po śmierci taty bardzo wspierała duchowo moją mamę, a mama ją. Stały się dla siebie bardzo bliskie.

NAUKA

Czas liceum to lata ciężkiej pracy nad sobą, nauka w trudnej dla mnie klasie matematyczno-fizycznej. Wychowawcą naszym był prof. Ireneusz Staszak, który usiłował nauczyć nas odpowiedniego zachowania (to było niełatwe) oraz języka angielskiego. Mile wspominam wszystkich profesorów gdyńskiej „Trójki” oraz koleżanki kolegów z klasy.

Najbliższą koleżanką, z którą siedziałam w ławce była Magda. Razem z Magdą wszystko stawało się łatwiejsze. To osoba, która przyjmuje wszystko co życie niesie bez narzekania i o ile to możliwe z poczuciem humoru. Magda i ja trenowałyśmy Karate. Dzięki treningom łatwiej było nam się uczyć i znosić reżim szkolny. Po maturze Magda studiowała teologię i wstąpiła do zakonu Suore Angeliche di San Paulo. Po latach wróciła do Polski, do Gdyni. Nadal będąc w wybranym zakonie zajmuje się pracą edukacyjno-wychowawczą.

Poprzez Karate poznałam Marlenę i jej brata Tomka. Mieszkali tak jak ja, na Chyloni. Spotykałyśmy się z Marleną na treningach, spacerach i bieganiu, czasem w swoich domach. Zawsze byliśmy pełne młodzieńczego zapału i radości życia. Moja przeprowadzka do Gdańska i Marleny małżeństwo sprawiły, że przestałyśmy się spotykać. Rodzina, praca i studia pochłonięły całkowicie nasz czas. Wróciliśmy do dawnej więzi mając już dorosłe dzieci. Marlena przeszła kilka ciężkich operacji i trudne leczenie. Wiele zawdzięcza miłości i wsparciu rodziny. Wiele zawdzięcza miłości i wsparciu rodziny. Obie uważamy, że siły w znoszeniu trudów czerpiemy z tego, co nam wpojono w dzieciństwie, z wiary, a także z wychowania sportowego.

Zanim Marlena mi to uświadomiła, nie zdawałam sobie sprawy, że zasady postępowania wpajane i wymagane na treningach Karate kształtowały moje życie. Do zasad tych należy szacunek do siebie, do każdego człowieka, do nauki i wszelkiego dobra, aktywna postawa wobec zła. Uczono nas pracowitości, odporności na trud, ból i stres.

Nauka w Studium Medycznym w klasie Fizjoterapia – to były najpiękniejsze dwa lata mojej edukacji. Cieszyła mnie każda godzina ćwiczeń i wykładów. Szczególnie mile wspominałam panią magister Danutę Tomaszewską, która wykładała Kinetyterapię – nasz główny zawodowy przedmiot. Przekazywała nam nie tylko wiedzę o chorobach i o metodach pracy z pacjentami, ale także wypowiadała zdania, które były jej przemyśleniami.

Notowałam je, a potem przytoczyłam jako cytaty na początku mojej pracy magisterskiej [5]

– Przecież to są ludzie, nie można ich tak zostawić.

(z wykładu na temat ciężkich porażений układu nerwowego)

– Z każdego dziecka można coś wydobyć.

(z wykładu na temat mózgowego porażenia dziecięcego)

– Nawet jeśli niedługo umrze, a ćwiczenia dają mu trochę radości, to jest sens je wykonywać.

(z wykładu na temat chorób o złym rokowaniu)

– Zawsze będziecie mieli dużo pacjentów, ale musicie wy czuć komu ile potrzeba waszej uwagi. Nie mówcie, że nie macie czasu. Ten pacjent, z którym jesteście ma czuć się najważniejszy.

(ostatni wykład dla II roku” 88)

Te i inne przemyślenia pani mgr Danuty Tomaszewskiej towarzyszyły mi zawsze w pracy zawodowej.

W kolejnych rozdziałach opisuję krótko historie pacjentów, o których nie mogę zapomnieć.

PORCELANA W DŁONI

Zaczęłam pracę jako fizjoterapeutka w 1988 roku na oddziale chirurgii i neurologii w Akademii Medycznej w Gdańsku. Byłam pełna zapału i miłości do ludzi, dumna ze swego zawodu, przekonana, że każdemu dużo pomogę.

Przez kolejne lata pracy te uczucia we mnie pozostały, lecz nie zawsze w tak młodzieńczej, idealistycznej formie... Najczęściej upadało przekonanie, że jestem w stanie pomóc w stopniu zadowalającym pacjenta.

W pierwszym tygodniu mojej pracy udałyśmy się ze starszą koleżanką na chirurgię, gdzie otrzymałyśmy kilka zleceń rehabilitacji. Przez chwilę rozmawiałyśmy z lekarzem.

Dowiedziałyśmy się, że zlecona jest pionizacja 15-letniej pacjentki po amputacji na poziomie uda. Amputacja była konieczna, gdyż nastąpiło zmiążdżenie tkanek. Dziewczyna wpadła pod tramwaj.

Koło przejechało przez jej udo po skosie, więc lekarze musieli przeszczepić na kikut płat skóry z drugiego uda... Obawiałam się, że nie będę wiedziała, co powiedzieć, jak się zachować, czy wejść ze łzami w oczach, czy się uśmiechać. Weszłyśmy na salę, a tu — zapach dezodorantu, muzyka z radia, pluszak przy poduszce. Poczułam się pewniej. Dziewczyna spokojnie przyjęła informacje, które przekazała jej starsza fizjoterapeutka.

Odkryła koldrę, powoli przesunęła obolałe udo i kikut do krawędzi łóżka, posiedziała chwilę. Koleżanka zadała jej kilka ćwiczeń, które pacjentka dokładnie wykonała. Następnie koleżanka postawiła chodzik. Dziewczyna miała zrobić pierwsze kroki po amputacji i po przeszczepach. Wstała. Bolało. Byłyśmy po jej obu stronach asekurując i dając instrukcje. Pamiętam, że wtedy usłyszaliśmy z radia piosenkę

„China in your hand” [6]. Piosenka ta wypełniała przestrzeń, lecz nie mogła zagłuszyć pytań, które pojawiały się w naszych głowach: Czemu tak musiało się stać? Jak ona to wytrzyma? Czy będzie szczęśliwa? Czy będzie mogła robić coś co lubi? Czy znajdzie miłość?

Ale teraz MUSI nam się wszystko udać, ona nie może się zachwiać, ani zemdleć. Nie może być ani za krótko, ani za długo. Nie możemy okazywać jej współczucia, bo się rozklei. Trzeba okazać jej podziw, dać rozsądny plan... Powinnyśmy na koniecznie subtelnie zażartować...

Udało się wszystko tak jak chciałyśmy. Po wyjściu z sali nogi się pode mną uginały. Kolejną osobą po amputacji w tym wieku spotkałam w Sanatorium Usprawniania Leczniczego dla dzieci, w moim kolejnym miejscu pracy. Chłopak lubił grać w piłkę nożną, był wysoki i wysportowany. Musiał mieć amputowaną nogę na poziomie uda z powodu nowotworu kości udowej. Nie był on moim pacjentem, pracowała z nim jedna z koleżanek. Potem za każdym razem, gdy pionizowałam osobę pierwszy raz po amputacji, po trudnej operacji, a także po ciężkiej chorobie — słyszałam w głowie słowa tej piosenki.

Czułam się tak, jakbym dostała do drżących rąk coś bardzo kruchego.

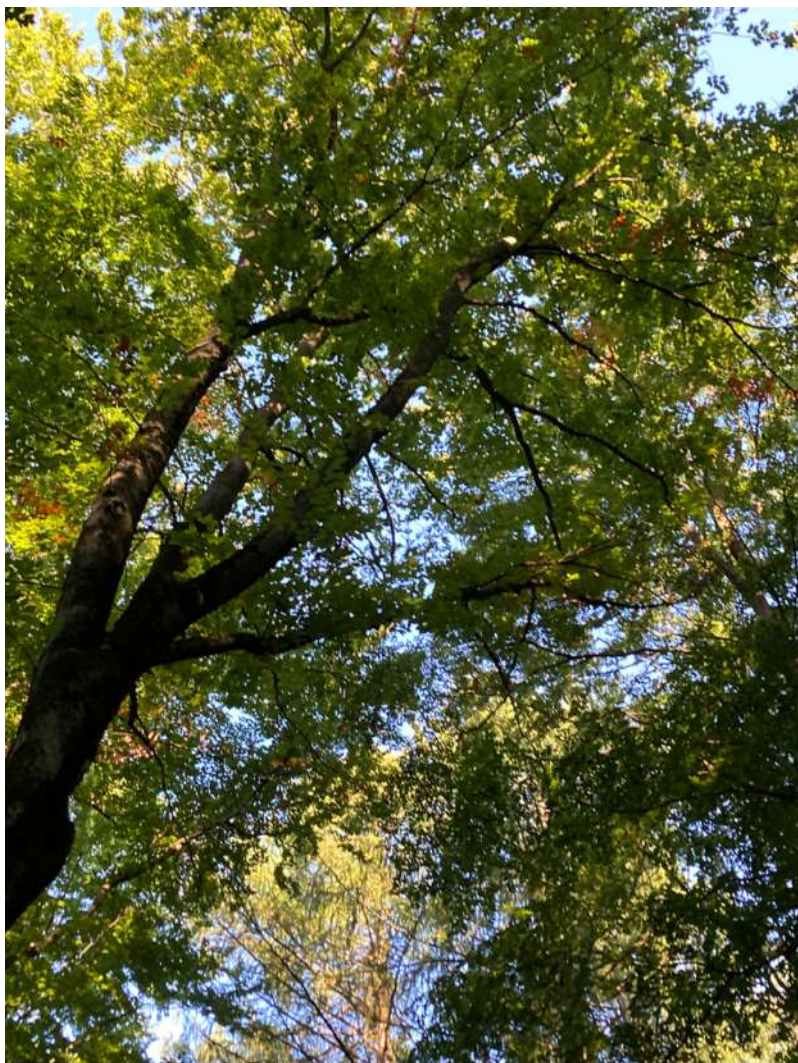
ŻYCIE PRZECIĘTE JAK DRZEWO

Monię poznałam w Sanatorium Usprawniania Leczniczego dla dzieci w Gdańsku. Przyjechała po odbyciu leczenia ratującego życie, po wypadku, jaki przeżyła idąc z siostrą w okolicy wycinki drzew. Ścinane drzewo spadło na Monię i przygniotło ją swym ciężarem.

Złamanie poprzeczne kręgosłupa pozbawiło ją władzy w nogach oraz czucia poniżej bioder. Próbowaliśmy poprzez codzienne dokładne skupianie się na zadaniu ruchowym wywołać napięcie mięśni, jednak pochodziło ono tylko z brzucha. 14-letnia Monia była bardzo dbającą o siebie dziewczyną, lubiła się ładnie ubrać, uczesać i przyozdobić, jak większość dziewcząt w sanatorium zajmujących sale dla dziewcząt starszych. Pewnego dnia, gdy pomagałam jej w toalecie rozplakała się rozpaczliwie. Nie potrafiłam znaleźć słów pocieszenia, to była cała jej rozpacz, że nie czuje ciała poniżej bioder, że jest inna i że to jest przerażająco ZA TRUDNE. Przez kilka lat korespondowałam z Monią. Namawiałam ją na obozy dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej w Cieciorce, ale ona nie chciała na dłużej opuszczać domu.

Pisała, że jest jej w domu dobrze, odwiedza ją liczna rodzina, piecze ciasta, które wszyscy u niej zamawiają, a po pracy w kuchni musi poleżeć, bo jak tą sprawę zaniedba to odnawia jej się odleżyna.

Monia uczyniła w moim umyśle trwałe miejsce, które nazywa się Wielka Sympatia dla Osób po Urazie Kręgosłupa.



fot 2

CIECIORKA

Obozy w Cieciorce wspominam zawsze z uśmiechem. Należałam do kadry obozów, pracowałam tam jako fizjoterapeuta. Poznałam radość bycia we wspólnocie młodych ludzi, którzy tworzą coś bardzo dobrego. W skład kadry obozów należeli także komendant, pielęgniarka, kierowca i logistyk, kucharki, organizatorzy imprez i opiekunowie uczestników. Byli to studenci medycyny i psychologii. Atmosfera tych obozów sprawiała, że energii do działania nigdy nie brakowało. Kwitła przyjaźń.

Moją sympatią był AL. Miał 27 lat, przepiękny uśmiech i spokojny, ciepły sposób mówienia. Należał do uczestników, ale był w pełni samodzielny, pomagał innym uczestnikom jak mógł, a także angażował się w organizowanie zajęć i imprez na obozie. Po zakończonych obowiązkach spotykaliśmy się przy ognisku wartowników, ciesząc się sobą w grupie, a także chodziliśmy na spacer, aby poznać się lepiej we dwoje. To był piękny czas. Po obozie spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, AL proponował mi wspólną drogę...Nie byłam gotowa. Miałam 21 lat, planowałam studia, chciałam inwestować w rozwój zawodowy i poznać jeszcze różne możliwości pracy. Po latach dostałam list od AL, w którym napisał, że się ożenił.

Kasia mieszkała w tej samej miejscowości co AL. Bardzo lubiła ćwiczenia ze mną na sali gimnastycznej. Nosiła ciężkie buty ortopedyczne, które z trudem zdejmowała ze swoich zmęczonych stóp, które puchły także przez wysoką temperaturę letnich dni. Kasia była zawsze radosna, pełna empatii i chęci pomagania innym. Po wielu latach odnalazłam jej profil na facebooku i dowiedziałam się, że jest szczęśliwą żoną i matką.

Anula przyjechała do Cieciorki wraz ze swoją siostrą Gosią, która odbywała na tym obozie praktykę studencką. Anula była uczestniczką obozu i wymagała bardzo troskliwej opieki, gdyż z powodu spastyczności nie mogła wykonywać czynności samoobsługowych. Była wożona na takim dużym wózku jakby spacerówce, gdyż nie mogła siedzieć pod kątem prostym. Dziewczyna miała także problemy z artykulacją, spastyczność obejmowała także niektóre mięśnie twarzy i szyi. Trzeba było zatrzymać się przy niej i najlepiej patrzeć na twarz, aby uzyskać odpowiedź. Kto to zrobił, nigdy nie żałował, gdyż Anula była zazwyczaj pogodna, słuchała uważnie, aby dać mądrą odpowiedź lub radę. Porywałam ją na spacer, kiedy tylko znalazłam trochę czasu.

Cieszyła się wszystkim, choć życie jej nie było wolne od innych dolegliwości poza tymi, które powstały w wyniku choroby wrodzonej. Dzielnie znosiła wszystkie konieczne zabiegi medyczne. Swój charakter kształtowała poprzez miłość w rodzinie i głęboką wiarę. Wraz z siostrą bywały na Mszach Świętych, nabożeństwach i rekolekcjach w różnych kościołach Gdańska oraz uczestniczyły w wielu wydarzeniach kulturalnych.

Bywały czasem w Bazylice św. Mikołaja, gdzie prężnie działało Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez Ojców Dominikanów. Lubiłam DA, choć nie mogłam być na Mszy Akademickiej w każdą niedzielę. Nie zapomnę wzruszenia, gdy wyszliśmy z mężem po naszej Mszy Świętej ślubnej z kościoła św. Mikołaja i zobaczyliśmy Anulę i Gosię. Wręczyły nam prezent, precudnie ilustrowane bajki, które po paru latach cieszyły oczy naszych dzieci. Dziewczyny tworzyły i nadal tworzą młodzieżczą, radosną atmosferę w towarzystwie... Ich dom był i jest zawsze otwarty dla przyjaciół i znajomych. Anula nie czu-

je się samotna, choć lubi czasem przebywać tylko ze swoimi myślami, słucha audycji światopoglądowych, religijnych i politycznych, udostępnia ciekawe posty. Twierdzi, że szuka prawdy obiektywnej... Anula nie może zapomnieć Agi, swojej opiekunki z obozu dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej w Cieciorce. Przyjaźniła się z kilkoma studentkami na obozie, ale Aga była dla niej wyjątkowa. Aga opiekowała się Anulą na dwóch turnusach w 1990 i w 1991 roku.

Na kolejnym turnusie, Anula nie mogła być w Cieciorce. W tym czasie Aga została śmiertelnie potrącona przez samochód pędzący leśną szosą, której poboczem szli opiekunowie wraz ze swoimi podopiecznymi. Ta tragedia wstrząsnęła wszystkimi, a najbardziej rodzicami i siostrą Agi.

Anula ma nadzieję, że zobaczy Agę po drugiej stronie życia. Choć wierzymy w życie wieczne, trudno nam się pogodzić ze śmiercią, a zwłaszcza śmiercią dziecka i młodej osoby... Jeśli śmierć jest chwilą ciemności, po której zobaczymy światło Miłości Bożej, chcielibyśmy mieć ufność przemawiającą z słów psalmu;

*„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty
jesteś ze mną”*

Ps 23,4 [1]

WSZYSTKO PRZEZ TO

Radek miał 12 lat. Był to chłopiec o bardzo delikatnym usposobieniu i wyglądzie, miał ciemnobrązowe oczy, ciemne włosy i bardzo ładną, ale zawsze smutną buzię. Radek mówił niewiele i cicho. Nie wołał głośno kolegów, nie słychać było jego śmiechu.

Radek czuł się gorszy od innych chłopaków w sanatorium. Przecież mając 12 lat trzeba biegać, robić psikusy młodszym i dziewczynom, oszukiwać panie opiekunki i popisywać się sprawnością... A on?... Nikt nie zapraszał Radka do paczki, bo był na wózkach. U Joasi nie miał szans. Ona tak jak inne, tylko patrzyła na wysokich chłopaków z siódmej i z ósmej klasy. Co prawda wzięła od niego czekoladę i nawet chwilę porozmawiała, ale na drugi dzień już nie miała czasu. Najgorsze było to, co usłyszał, gdy mama pytała lekarza- czy syn będzie chodził?... Lekarz nie powiedział, że będzie. Dużo mówił, ale nie to, co Radek chciał usłyszeć. Czasem czuł tak wściekły żal, który ścisnął za gardło, że miał ochotę się rozbeczeć, jak jakiś dzieciak.

A najlepiej krzyczeć, aż do zderzenia gardła. Kiedyś to zrobi jak będzie sam! Wszystko przez ten wypadek, gdy jechali samochodem wujka, oni z przodu, Radek z tyłu. Radek mówił wujkowi, żeby tak szybko nie jechał. Wszystko przez to, że wujek popisywał się przed mamą. Gdyby tata był kierowcą, na pewno by tak szybko nie jechał. Wszystko przez to, że tata pojechał do tej pracy na południe Polski... Teraz Radek musi tu być i czekać; na powrót jakiegokolwiek skurczu mięśnia, na odwiedzinę mamy, na koniec turnusu, na to, że może okaże się, że cudownie wyzdrowiał i będzie mógł chodzić, chociaż o kulach, ale CHODZIĆ!

Zrobi wszystko, aby mógł jakoś chodzić. Poznanie Radka sprawiło, że moje plany zrobienia prawa jazdy opadły na samo dno mojej szuflady planów. Pojawiło się nowe pragnienie – pomagać pacjentom po urazie kręgosłupa. Staralam się to robić w czasie moich urlopów na obozach Aktywnej Rehabilitacji. Były to obozy przygotowujące osoby młode i w średnim wieku z paraplegią i tetraplegią do maksymalnej, możliwej do osiągnięcia samodzielności, a także do aktywności sportowej dla osób poruszających się na małych, lekkich, zwrotnych wózkach do aktywnej rehabilitacji. To były (i nadal się odbywają) obozy o charakterze sportowym i integracyjnym. Najważniejsze na obozie są zajęcia samoobsługowe i sportowe: jazda na wózkach z przeszkodami, maratony na wózkach, łucznictwo, pływanie, gimnastyka. Odbywały się wieczorki taneczne przy muzyce w stylu disco, spotkania dyskusyjne oraz zajęcia dowolne, które były trochę szalone. Gromadziliśmy się w dużym kole i opowiadaliśmy kawały. Niestety w tamtym czasie była moda na palenie, więc sporo dymu było na takich spotkaniach. Dym, gadanie i śmiech do bólu zdzierały nam gardła. Gdy już szczypały nas oczy i brakowało powietrza wychodziliśmy na zewnątrz, śmiejąc się z byle czego, popijając co kto miał (alkohol był zakazany, a zakaz przestrzegany).

Wielka była potrzeba śmiechu i radości w przyjaznej grupie po traumatycznych przeżyciach, jakich Ci ludzie doznali.

MIREK

Mirek był nauczycielem kadry obozów Aktywnej Rehabilitacji w Konstancinie. Miałam przyjemność być na takim obozie w 1993 roku. Mirek jako tetraplegik od 11 lat, zdobył już kilka złotych medali w pływaniu. Pływał bardzo dobrze na grzbiecie, tak że wszyscy go podziwiali. W kolejnych latach został multimedalistą igrzysk paraolimpijskich. Miał zawsze zawadiacki uśmiech na swej przystojnej twarzy i poczucie humoru, które skupiało wszystkich wokół jego osoby. Wymagał od siebie maksymalnej samodzielności i żelaznej dyscypliny jakby był jeszcze w jednostce wojskowej, którą opuścił w dniu ryzykownych skoków do jeziora. Tak samo wtedy, jak i teraz śmiało opowiada o swoim pechowym skoku do wody na głowę i chciałby wszystkich przed tym ostrzec. Na kolejnych obozach także był instruktorem samoobsługi i sportów dostępnych dla osób poruszających się sprawnie na wózkach typu Active, uczył chłopaków po urazie kręgosłupa sposobów radzenia sobie w wielu dziedzinach życia. Uczył ich pozytywnego myślenia na swój temat – jestem sprawny inaczej.

Mirek jest aktywny w życiu społecznym Bydgoszczy i województwa. Od pewnego czasu zmuszony jest do częstszych pobytów w szpitalach i sanatoriach, gdyż, jak twierdzi – „35 lat wózkowego życia na maxa spowodowało pogorszenie zdrowia i sprawności fizycznej”.

W miarę obecnych możliwości działa na rzecz osób niepełnosprawnych i współpracuje z Fundacją imienia Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ w Koninie. Został laureatem konkursu „Człowiek bez barier 2021” [7].

Mówi o sobie, że jest już zmęczony, ale jeszcze musi powalczyć o kilka bardzo ważnych spraw dla osób poruszających się na wózkach.

JAREK

Z Jarkiem pracowałam w czasie pierwszej pracy na neurologii w Akademii Medycznej. Był chory na stwardnienie rozsiane (SM), miał 38 lat, ćwiczyłam jego ręce i nogi, pomagałam mu chodzić przy wysokim chodziku. Wzruszył mnie bardzo swoją pełną ciepłą dla wszystkich osobowością mimo trudów związanych z chorobą. Początkowe symptomy SM wystąpiły u niego w wieku 20 lat, było to niewielkie osłabienie nogi i zaburzenia widzenia. W dniu wypisu z neurologii poprosił mnie o adres i pisał do mnie listy, a pisać potrafił ciekawie. W pierwszych latach pracy miałam zwyczaj odwiedzać w soboty niektórych pacjentów, rozmawialiśmy i ćwiczyliśmy. Były to osoby z Trójmiasta, ale także czasem wybierałam się dalej. U Jarka w Wejherowie byłam cztery razy. Warunki mieszkaniowe w starym budownictwie były bardzo skromne, ciasnota pomieszczeń utrudniała przemieszczanie się na wózku. Za pierwszym razem jeszcze trochę się poruszał, potem przyjechałam drugi raz po kilku miesiącach i Jarek już tylko leżał. Jego mama była załamana. Powiedzieli ze smutkiem, że oczekują na przyjęcie do domu opieki społecznej w Wejherowie.

No cóż, wiedzieliśmy, że lepiej nie będzie w tej chorobie. Jarek bał się przyszłości. Odwiedziłam Jarka w nowym miejscu

raz sama, potem z narzeczonym Andrzejem, który bardzo mi zaimponował tym, że jeździł ze mną do pacjentów. Jarek zawsze bardzo się cieszył z odwiedzin. Był zadowolony z pobytu w domu opieki, gdyż miał tam o wiele więcej osób do rozmów, niż w domu. Miał tam też dużo przestrzeni. Opowiedział mi o opiekunkach fajnych i o mniej fajnych, zapalił przy mnie papierosa (którego musiałam mu podawać, bo sam już nie mógł go unieść). Staralam się być pogodna, ale widok pacjentów w ciężkich stanach był bardzo przygnębiający. Fajnym opiekunkom podarowałam kawę i bombonierkę i wyszłam stamtąd z poczuciem ulgi... Jarek już nie mógł pisać, dzwonił do mnie czasem, przysyłał kartki z życzeniami napisane przez poproszoną osobę.

Mijały lata. Pewnego zimowego dnia szykowałam dzieci na spacer i zadzwonił telefon (stacjonarny). Było dość nerwowo, bo jak jedno dziecko jest ubrane — niecierpliwi się, drugie ubierała mama, z trzecim byłam w toalecie. Mama odebrała telefon i poinformowała mnie, że dzwoni opiekunka Jarka i proszą o rozmowę. Odmówiłam przez mamę, prosząc aby zadzwonili pod wieczór, bo jestem zajęta... Tam, w domu opieki był tylko telefon stacjonarny na monety dla pensjonariuszy i nie można było do nich dzwonić, jedynie przekazywać wiadomości przez administrację. Musiał wtedy bardzo się postarać, aby poprosić fajną opiekunkę o pomoc przy telefonie na monety, a może udało się załatwić to u portierki. Więcej nikt do mnie nie zadzwonił. Mogłam zadzwonić na sekretariat i przekazać pozdrowienia, ale nie zrobiłam tego. Rozumiem siebie, byłam w tamtym czasie bardzo zmęczona i cały czas skoncentrowana na dzieciach, które były jeszcze małe i często chorowały. Nie lubiłam wtedy stać i rozmawiać z kimkolwiek przez telefon, bra-

kowało mi czasu na podstawowe sprawy. Jednak do dziś żałuję, że wtedy nie chciałam porozmawiać z nim chwilę. Czułam to, ale nie chciałam dopuścić do pełnej świadomości, że Jarek chciał się pożegnać...

Budujemy na fundamentach z dzieciństwa piramidę wartości, a wokół niej mur, za którym jest — „mało mnie to obchodzi”.

Pamiętając o Jarku, staram się wyczuć, co jest dla kogoś bardzo ważne i jeśli poprosi mnie o coś, nie odmówić, o ile nie zawali się moja piramida.

STUDIA

Studiowałam zaocznie rehabilitację na AWF-ie z Asią. Spędzałyśmy osobno setki godzin nad książkami, na salach ćwiczeń, stadionach, nad pracą magisterską. To były piękne lata. Do Poznania jeździliśmy razem. Mieszkałyśmy na zjazdach w akademiku w Poznaniu. Budził nas budzik umieszczony w metalowej misce stojący na stole na tyle daleko, że trzeba było wstać, aby go wyłączyć. W pokoju obok mieszkali chłopcy i musiałam pilnować Asi przed drzwiami do prysznica, bo sąsiad kładł się na ziemi, aby zobaczyć cokolwiek przez dolną szparę. Chodziłyśmy na wykłady i ćwiczenia na poznańskim AWF-ie. Wszystko, co robiłyśmy, było na wesoło. Asia była po prostu zawsze gotowa do „śmieszkowania”. Ja trochę mniej, ale uczyłam się od niej. Z uśmiechem wspominam dyskoteki na każdym piętrze akademika, pogawędki na schodach, żarty

i kawały na zajęciach, obozy sportowe letni i zimowy oraz długie, nocne rozmowy przy muzyce. Siedzieliśmy wszędzie, gdzie się dało, pijąc piwo (ja nie piłam, bo nie lubiłam), napoje słodzone, herbatę lub kawę (lubiłam i lubię) chrupiąc słone paluszki. Chłopcy dojadali to, co nam zostało z kolacji i najważniejsze było to, że mieściliśmy się wszyscy w wybranym pokoju. Wodzirejem imprez był nasz starosta roku z miejscowości Kozie Głowy. Miał talent przywódczy, mówił głośno, wyraźnie i często z pikantnym dowcipem... Jak sięgnę pamięcią, w kolejnych latach po studiach nie przeżyłam tak wielu zabawnych sytuacji i tak spontanicznego wyrażania dobrego humoru, co w tym towarzystwie. W czasie zjazdów spało się za mało, więc zmęczenie dało się odczuć w ciągu dnia. Budziliśmy więc na wykładach najbardziej zmęczonych studentów wymyślając oryginalne śmieszne sposoby. Najczęściej spadało mi ciśnienie w prosektorium. Pan prowadzący ćwiczenia widząc moją opuszczoną głowę, wysyłał mnie do baru na kawę, czego wszyscy mi zazdrościli. Czasem ktoś jeszcze po mnie wychodził z prosektorium. Zdając sobie sprawę z utraty cennych informacji, nadrabiałam je potem z atlasem anatomicznym.

Asia od wczesnej młodości grała w koszykówkę, ale już w czasie studiów miała spore problemy z kolanem. Na trzecim roku, na zjazd przyjechała z nogą w długim gipsie. To nie był koniec kłopotów, przebyła jeszcze trzy operacje kolana, które nadal ją boli. Szczęśliwie przeżyliśmy ciekawe cztery lata studiów... Broniliśmy swoich prac magisterskich na Kate-drze Rehabilitacji AWF.

Asia napisała na temat wad postawy, a ja na temat poczucia własnej wartości osób po urazie kręgosłupa.

Po udanej obronie poszliśmy radośnie z naszą przemiłą panią promotor dr Marią Jaruga na kawę i lody do kawiarni w Poznaniu. Byliśmy szczęśliwe, dumne i pełne młodzieńczego zapału do pracy.

Życie rodzinne Asi nie było łatwe. Musiała rozstać się z mężem i sama zajmować się córkami, pracą, nauką, domem z ogrodem oraz pomagać swojej mamie we wszystkim. Mimo trudów Asia zawsze była optymistycznie nastawiona do życia. Pracowała najpierw jako instruktor ćwiczeń korekcyjnych, potem zrobiła studium nauczycielskie, aby zmienić specjalność z powodu bólu kolan. Od wielu lat pracuje jako nauczycielka informatyki i jako instruktor ćwiczeń dla kobiet. Odnalazłyśmy się przez messenger, spotkałyśmy się po trzydziestu latach już kilka razy.

Wymieniamy się doświadczeniami w zakresie ćwiczeń i leczenia dolegliwości stawów.

Pozostała nam radość życia, uśmiech i gotowość do żartowania. Jest to sposób na życie, który tak trafnie opisała moja ciocia w swoim wierszu.

*Śmieć się
Kławe życie czy kiepskie szczęśliwe czy byle jakie
śmieć się
dziecka niepohamowaną wesołością
i mnicha buddyjskiego mądrością
Nic to
że aura nie taka
los ciągle figle płata
idiota ludzie mówią
śmieć się*

*humor leży pod każdą życia odsłoną
Kolejny dzień na nogach to już powód do radości
śmiej się
aż uśmiech zawisnie na ustach modlitwą wdzięczności. [8]*

ZMIANA

Musiałam odejść z Sanatorium Usprawniania Leczniczego dla dzieci, gdyż często tam chorowałam na zapalenie oskrzeli i nasilała mi się astma. Zaczęłam studia na AWF-ie i nie mogłam tak dalej chorować. Te studia wymagały sprawności fizycznej. Szpital na Zaspie wydawał mi się atrakcyjnym miejscem dla rozwoju zawodowego. Musiałam coś zmienić, aby przestać chorować i chciałam też poznać dorosłych pacjentów.

Moja praca w szpitalu polegała na usprawnianiu osób przebywających na oddziałach wewnętrznym, chirurgii męskiej, na urologii, OIOM-ie, ginekologii i patologii ciąży, a bywało że trzeba było iść na inny oddział na zastępstwo. Na oddziale chirurgii ogólnej i chorób wewnętrznych pracowałam najdłużej. W 2015 roku gdy oddelegowano mnie do Gdańska na pół roku, pracowałam także na ortopedii, neurochirurgii i oddziałach dziecięcych. Celem podstawowym tej pracy było przygotowanie pacjenta do wstania z łóżka, do samoobsługi, nauczanie ćwiczeń i nauka chodzenia.

Czas pracy w starym Zakładzie Rehabilitacji na Zaspie wspominam ze wzruszeniem. Tworzyliśmy co prawda kilka

grup lubiących się bardziej, ale czuliśmy się przede wszystkim Grupą mającą wspólne sprawy, wspólne interesy pod skrzydłami Szefowej, pani dr Bogumiły Jonas. Mieliliśmy podobne cele i marzenia. Jak większość młodych ludzi pragnęliśmy szczęścia w małżeństwie, w rodzinie, pragnęliśmy zdrowia i dobrobytu. Nasza Szefowa wspierała nas we wszystkim, kierowała pracą zespołu stanowczo, ale zawsze podkreślała — Pamiętajcie, najważniejsza jest Rodzina, potem rodzina, a potem praca...

Można było szczerze porozmawiać z Szefową, zawsze mądrze doradziła, chętnie pomagała jak mogła. Mówiła o nas — moje dziewczęta. Czuliśmy się w pracy bezpiecznie, wiedzieliśmy, że nie utracimy jej na przykład z powodu dłuższej nieobecności. Dzięki Szefowej mogłam wrócić na swoje stanowisko pracy po sześciu latach urlopów macierzyńskich i wychowawczych na troje dzieci. Jestem Szefowej za to bardzo wdzięczna... Lubiłam wracać po pracy na oddziałach na hydroterapię do pani Wandzi i pani Stasi. Te dwie starsze koleżanki tworzyły miłą, rodzinną atmosferę. Pani Stasia była i jest osobą bardzo cichą i niewiele pamiętam z tego, co mówiła. Pani Wandzia mówiła więcej, ale także potrafiła każdego wysłuchać i dobrze doradzić. Mówiła do nas — moje córeczki. Chętnie przychodziłam na przerwy śniadaniowe na hydroterapię, lubiłam, gdy wpadała do nas zawsze uśmiechnięta Lucysia, technik EMG. Lucysia także czuła się „córeczką” Wandzi. Ciężko było nam pogodzić się z odejściem na emeryturę najpierw pani Stasi, potem Wandzi, a także z likwidacją starego zakładu z przepiękną hydroterapią urządzoną jak oranżeria, bogatą w rośliny doniczkowe. Wiadomość o chorobie i śmierci pani Wandzi pogrążyła nas w smutku.

ODDZIAŁY

LEKCJE I RYSUNKI

Na chirurgii dziecięcej poznałam dzielnego 14-letniego Staszka po wypadku samochodowym. Nie chciał rozmawiać o wypadku. Staszek miał przeszczepy skóry z kilku miejsc lepszych na udach, na tyle samo miejsc pozbawionych skóry: na łopatce, na ramionach i na karku. Chłopiec miał wielkie problemy ze znalezieniem pozycji leżącej, w której mógłby odpocząć od bólu. Układał się na kilku walkach, a po ułożeniu się, już nie mógł się kręcić. Mimo wszystko na nic nie narzekał, uczył się pilnie, gdyż nie chciał zawalić ósmej klasy

Bywało, że gdy przychodziłam do niego, musiałam pocze-kać, aż skończy się lekcja. Jestem pełna podziwu dla dzieci i młodzieży, które często w warunkach wielkiego dyskomfortu i bólu, czasem przytłoczone wielkim smutkiem, potrafiły sku-pić się na nauce. Lekcje odbywały się przy innych dzieciach na sali chorych, bywały przerywane przez procedury medyczne. Tak samo z podziwem myślę o nauczycielach dochodzących ze szkół, aby uczyć w szpitalu. Nie jest to łatwe pod względem psychicznym, gdyż uczniowie nieraz bardzo cierpią, a także dla-



fot 3

tego, że jest ograniczona ilość godzin lekcyjnych w szpitalu. Materiału dużo, a czasu za mało.

Nie mogę zapomnieć dziewczynki po wypadku samochodowym. Miała połamaną miednicę, oraz przeszczepy skóry z ud na okolicę podbrzusza. Musiała leżeć cały czas w niewygodnej pozycji w lekkim rozkroku, z jednej nogi wystawały druty Kirschnera. Dzięki mamie, która przebywała z córką prawie cały czas, dziewczynka mogła liczyć na pomoc w każdej chwili. Cała sala była oklejona pięknymi obrazkami. Były to portrety, sceny z życia w szpitalu i te upragnione w malowniczym otoczeniu. Mała pacjentka miała niezwykle talent plastyczny. To co zoba-

czyłam na sali było tylko częścią jej twórczości. Najpierw wykonała rysunki jako prezenty dla wszystkich nauczycieli, lekarzy, pielęgniarek i opiekunek. Ja także miałam dostać rysunek na koniec tygodnia, ale dziewczynka została przeniesiona na inny oddział.

DZIEWCZYNY

Nigdy nie zapomnę tych dzielnych młodych kobiet, które potrafiły leżeć przez kilka miesięcy, aby urodzić upragnione dziecko.

JULIA z Kartuz, sprzedawczyni ze sklepu z zabawkami była w 6 miesiącu ciąży bliźniaczej i mogła leżeć tylko na plecach lub na jednym boku, bo na jednej ze stron macicy był jakiś uchylek, do którego uciekał płyn. Ćwiczyłam z nią siłę nóg i robiłam jej masaże. To była moja podstawowa praca na patologii ciąży. Nogi dziewczyn były takie miękkie, jakby pozbawione mięśni. Pacjentka była zawsze uśmiechnięta, gdy do niej przychodziłam. Opowiadała mi o tym, co czuje pod skórą brzucha, jak córeczki się ruszają i co przeżyła minionej doby. Córeczki miały już imiona, Sandra i Laura.

JADZIA leżała na ginekologii septycznej w 7 miesiącu ciąży. Była to ciąża zagrożona z powodu infekcji. Jadzia miała 36 lat i stwardnienie rozsiane. Odwiedzał ją mąż z dwoma synami. Pracowałam nad zachowaniem siły mięśni nóg i rąk oraz

uczyła pacjentkę odpowiedniego siadania, aby mogła wstać, kiedy lekarze pozwolą. Jadzia zdawała sobie sprawę, że ciąża jest stanem, który może wywołać tak zwany rzut choroby i znacznie osłabić kobietę chorą na SM. Powiedziała mi o tym na jednym z naszych spotkań – “Wiedziałam od początku, że mogę wylądować na wózku po porodzie, ale razem z mężem nie braliśmy tego pod uwagę, aby przerwać ciążę. Lekarze mówili, że dla mnie i dla rodziny byłoby to lepsze. Ale NIE... Pomyślałam, co będzie, to będzie, wola Boża.”

WERONIKA z Słupska przybyła na Zaspę helikopterem. Cierpiała na chorobę neurologiczną, przez którą miała słabe nogi. Już nie pamiętam nazwy choroby. Dziewczyna była w 5 miesiącu i dlatego leżała na ginekologii (patologia ciąży była od 6–7 miesiąca, w zależności od ilości pacjentek). Krwawienie zaczęło się w czasie przyjęcia komunijnego ich syna. Opowiedziała mi o tym zdarzeniu z uczuciem wdzięczności dla pracowników pogotowia, za ich sprawną akcję, a także dla lekarzy ginekologii, dla całego szpitala na Zaspie, bo powstał tu OIOM noworodka, którego nie było w Słupsku. Weronika mogła chodzić, bo już opanowano krwawienie i skurcze. Chodziłyśmy po korytarzu przy chodziku, a Weronika opowiadała mi o swoich planach.

SYLWIA leżała na ginekologii w 5 miesiącu. To był jej rekord bycia w ciąży. Wcześniej przeżyła trzy poronienia zwykle i dwa po in vitro. Wiedziała, że jak tą ciążę straci, to lekarze nie podejmą kolejnej próby in vitro. Ćwiczyłyśmy bardzo ostrożnie, przerywając gdy poczuła, że coś ją niepokoi. Pewnego dnia, gdy przyszłam oddziałowa powiedziała- dziś ćwiczenia są

odwołane, pani Sylwia gorzej się czuje. Kolejnego dnia dowiedziałam się, że stwierdzono obumarcie płodu i że pacjentka leży pod kroplówką z oksytocyny, w celu wywołania akcji porodowej. Doszłam pod drzwi jej sali, ale nie weszłam. Nie znalazłabym słów

GRAŻYNA była pod obserwacją na patologii ciąży w 8 miesiącu. Z dumą opowiadała mi, że ma dobrego chłopaka, który od początku chciał, aby urodziła i że ma ojca, który bardzo się cieszy. Powiedziała, że mama zareagowała oburzeniem. Uważała ona, że to skrajna lekkomyślność decydować się na dziecko, skoro Grażyna jest niepełnosprawna, ledwo chodzi mając spastyczne nogi z powodu mózgowego porażenia dziecięcego, skoro ma także wadę serca i właściwie sama wymaga stałej opieki. Grażyna cieszyła się, że zakonnice z pobliskiego zgromadzenia obiecały jej pomagać w opiece nad dzieckiem, w spacerach i zakupach. Już przygotowane było łóżeczko i wyprawka. Jak to często bywa na przekór losowi, osoby niepełnosprawne nie mieszkają na parterze. Grażyna ze swoim partnerem mieszkali na trzecim piętrze bez windy. Żaliła się, że pisała już kilka razy prośby o windę zewnętrzną do Urzędu Miasta i jak dotąd bezskutecznie. Graa nawet gdy na coś narzekała, to nie traciła optymizmu, że czas przyniesie rozwiązanie problemów. Myślę, że dali radę.

BOŻENKA została przewieziona z Akademii na chirurgię kobiecą po wypadku. Była wykończona po traumatycznych przeżyciach. W wypadku zginęła jej mama, a ona musiała mieć trepanację czaszki w celu ewakuacji krwiaka i korekcji kości. Dostałam zlecenie na pionizację Bożenki, chodziłyśmy na spa-

cery po korytarzu chirurgii i polubiłyśmy się. Po wypisie byłyśmy w stałym kontakcie. Bożenka miewała bóle głowy, musiała stale brać leki. Czas mijał, ale nie leczył doznanej traumy i dolegliwości. Po pewnym czasie Bożenka poznała chłopaka, z którym postanowiła iść przez życie. Byłam na ich ślubie. Za kilka miesięcy dowiedziałam się, że Bożenka jest na patologii ciąży z powodu wysokiego ciśnienia. Odwiedziłam ją. Bożenka leżała, chwilę rozmawiałyśmy, a potem usiadła do obiadu i nagle porzucała krew. Przerażona zadzwoniła po pielęgniarkę. Bożenka została natychmiast przewieziona na porodówkę. Była w siódmym miesiącu ciąży. Bałam się o nią. To stało się tak niespodziewanie. Pobiegłam na blok porodowy, ale nie wpuszczono mnie dalej niż do zamkniętych drzwi sali nr 5, gdzie odbywały się cesarskie cięcia. Kazano mi odejść spod drzwi. Czekałam tam, gdzie mi pozwolono, aż przyjechał mąż Bożenki. Na drugi dzień odwiedziłam ją na sali pooperacyjnej oddziału położniczego. Cieszyła się, że synek żyje, musiał być na oddziale OIOM noworodków. Bolał ją brzuch przy każdej próbie uniesienia czełkołwiek. Opiekunka lub położna kazała nam wziąć się do roboty. Wcześniej nie pomagałam po cesarce, więc zapytałam panną, co mam zrobić. Pani z pośpiechem podała mi miskę i polecenie: „Nie pieścić się! Leżą jak książniczki i wszystko im podawać, a potem nie mają siły do dziecka wstać.” Pomogłam Bożence usiąść i umyć się na łóżku. Nie minęła doba od odwiedzin na patologii, a już tyle się zmieniło. Kolejnego dnia pozwolono nam pojechać do małego Pawelka. Zawiozłam Bożenkę na wózek, gdyż nie była w stanie iść. Zobaczyłyśmy go na wysoko ustawionym i oświetlonym małym łóżku wśród wielu kabelek i rurek. Bożenka podała pielęgniarce buteleczkę z porcją wyci-

śniętego z trudem swojego mleka, popatrzyła na synka przez kilkanaście minut, pogłaskała go po rączce i tyle. Musiałyśmy wkrótce opuścić salę, gdyż personel potrzebował swobody ruchu do pracy przy małych pacjentach. Udałyśmy się z powrotem na położnictwo. Bożenka była bardzo zmęczona wyprawą i pełną obaw o synka. Pawelek wyrósł na zdrowego i zdolnego chłopaka. Musiał on nosić okulary od wczesnych lat, gdyż zbyt wczesne widzenie światła zwykle zostawia jakąś pamiątkę. Paweł odnosi sukcesy jako student ASP.

Pewna położna kiedyś powiedziała: — „Gdy rodzi się dziecko, rodzi się także matka.” Nie rozumiałam wtedy jej słów. Zrozumiałam, gdy urodziłam.

JA byłam na patologii ciąży tylko 5 dni, gdyż moja pani ginekolog chciała, abym była pod obserwacją jako „stara pierwiastka” Akcja zaczęła się od rana. Dużo się działo, badano mnie kilka razy, widziałam wiele osób z personelu, ale najmilsza osobą, którą zobaczyłam po południu był mój mąż. Prawie go nie poznałam, gdy wszedł na salę porodową w zielonym fartuchu i śmiesznym czepek. Byłam już na etapie mdłości, także podawał mi małą białą miseczkę zwaną przez personel nerką. Potem już ze zmęczenia niewiele widziałam, ale cieszyłam się z jego obecności. Dodawał mi siłę i pomagał. W końcu lekarze pomogli mi przy ostatnim parciu i usłyszałam płacz dziecka.

Gdy dostałam Je do przytulenia, CHWILA ta nie może równać się z żadną inną chwilą należącą do zbioru najpiękniejszych.

I taką chwilę przeżyłam trzy razy. Mąż potem też dostał dziecko na ręce i uspokajał czule: „No nie płacz, nie płacz, już dobrze”

ŁZY

Niestety wiele kobiet nie może tak cieszyć się tą chwilą. Bywa, że boi się ona wrócić do domu z dzieckiem, bo mąż nie chce kolejnego dziecka, grozi im przemoc domowa. W takich sytuacjach niektóre matki postanawiają zostawić dziecko do adopcji. Trzeba przyznać, że jest to akt odwagi kobiety. Mimo tego co ludzie mówią, oddawanie do adopcji nie spotyka się z aprobatą otoczenia. Po urodzeniu jednej z córek usłyszałam rozmowę pacjentek na ten temat. Moja bliska koleżanka, fizjoterapeutka uczyła pewną panią jak usprawniać słabsze noworodki. Pani ta prowadziła tymczasowy dla niemowląt oczekujących na adopcję. To niełatwe zadanie, gdyż poza pełnieniem troskliwej opieki, trzeba wykonywać ćwiczenia z dzieckiem kilka razy dziennie. Poza tym trzeba umiejętnie postępować, aby nie przyzwyczajać nadmiernie dziecka do siebie.

Przebywając z córką na badaniach na neurologii rozwojowej poznałam 2-letnią Helenkę z domu dziecka. Opiekunki z tego domu prosiły, aby nie nosić, nie tulić i nie bujać Helenki. Miała być na neurologii tylko kilka dni, więc chodziło o to, aby nie było rozpaczy, gdy przyjdzie dzień powrotu do domu dziecka. Pielęgniarki wyjmowały ją z łóżeczka do wózka, aby ją przewozić na badania, na posiłki, do świetlicy. Noszone dziecko bardzo to lubi i przyzwyczaja się do osoby, która je nosi i przytula.

Oj, jak bardzo chciało się wziąć Helenkę na ręce.

Wyciągała je do każdego, kto do niej podszedł.

NASZE ŁZY

Agnieszka nie była pacjentką oddziału na Zaspie. Nasza Agnieszka należała do osób zdrowych i silnych, była już mamą dwóch zdrowych synów. Przyjechała do dobrego szpitala w 9 miesiącu. Poród był naturalny, Agnieszka przytuliła synka do piersi. Po oddaniu łożyska, zaczęło się intensywne krwawienie. Ratowano ją krwią, środkami krwiozastępczymi i zwiększającymi krzepliwość, ściągano te preparaty z innych szpitali, przewieziono ją na OIOM.

Agnieszka ciągle traciła krew, ciśnienie niebezpiecznie spadało.

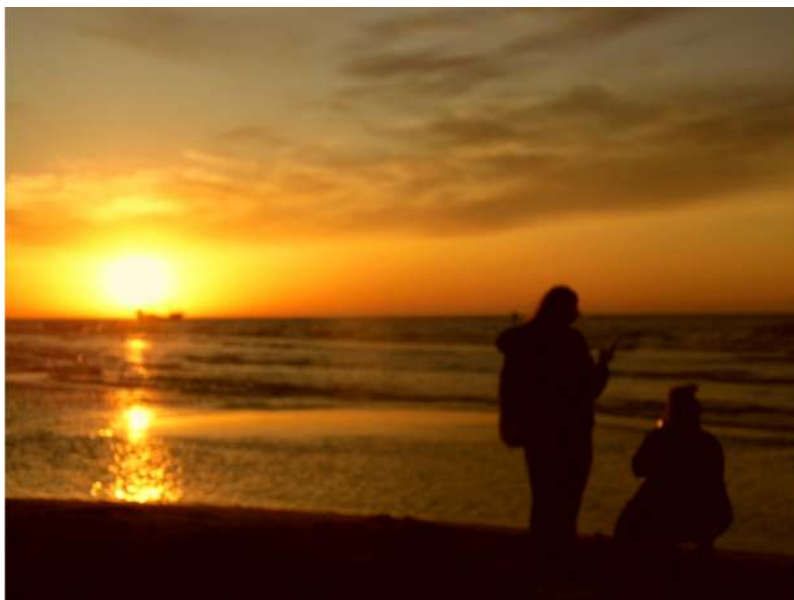
Wezwano męża Agnieszki, Krzyśka. Porozmawiali chwilę, potem go wyproszono...

Telefon o 23-ej. „Agnieszka nie żyje” – powiedziała zduszonym głosem Monika, siostra Agnieszki. Płakała rozpaczliwie, my też. Potem zadzwoniliśmy do Krzyśka...

Pozostał nam uśmiech Agnieszki zmieszany z uśmiechem Krzyśka na buziach ich dzielnych synów, wychowywanych z miłością i mądrością.

Ten wyjątkowy, tylko Jej przepiękny uśmiech z pełnym nadziei spojrzeniem na fotografii zrobionej w dniu kiedy była bardzo szczęśliwa.

Fotografia ta stoi zawsze na widocznym miejscu w pokoju chłopców. Na pewno chciałaby nam powiedzieć, co jest najważniejsze, o miłości wzajemnej i o tworzeniu Dobra.



fot 4

*To co najważniejsze
Wiara w Dobroć człowieka
Nadziei Prawda nie traci
Miłość pięknem zachwycą
nikt temu nie zaprzeczy
Z wiarą nadzieją miłością
w dobroci prawdzie i pięknie
Iść przez całe życie
to tak niewiele przecież[8]*

CHIRURGIA

Przez 17 lat pracowałam codziennie na chirurgii męskiej. Na kobietą część chodziłam tylko wówczas, gdy koleżanka była nieobecna.

Ordynator obu pododdziałów trzymał porządek, dyscyplinę, uczył młodych lekarzy nie tylko chirurgii, ale także dokładności i pracowitości. Na obchodach podchodził do każdego pacjenta trudnego i do każdego, kto był świeżo po operacji, odkrywał brzuchy lub nogi, badał, a potem dając zlecenia często trzymał pacjenta za rękę. To dodawało pacjentom wiary, że wszystko będzie dobrze. Ordynator bardzo lubił swój zespół. Organizował spotkania towarzyskie dla lekarzy i pielęgniarek. Gdy przychodziłam na chirurgię, zawsze w pokoju socjalnym mogłam odpocząć, zjeść coś, wypić, powiedzieć co słysząc, albo co mnie trapi, pośmiać się z dziewczynami. Lekarze wpadali do socjalnego skubnąć coś, co było na stole i pożartować chwilę z nami. Takich żartów jak na chirurgii nie słyszałam na innych oddziałach. Była to mieszanka tematów damsko-męskich oraz medycznych, scenek z życia wziętych.

Oddziałowe, przemiłe, mądre kobiety, wiedziały prawie wszystko o sprawach osobistych lekarzy i pielęgniarek, gdyż potrafiły zachęcić do zwierzeń każdego, kto był zmartwiony. Pomagały jak mogły swoim doświadczeniem życiowym i znajomościami. Były jak matki, można było się nawet wypłakać się na ich ramieniu. Panowała święta zasada: wszystko zostaje między nami, co powiedziane w naszym gronie.

Teraz trudno mi przypomnieć sobie wielu pacjentów. Pamiętam ich wszystkich jako cierpiących z powodu cukrzycy

i miażdżycy oraz nowotworów i stanów zapalnych narządów jamy brzusznej i kończyn oraz stanów po wypadkach z urazami głowy i narządów wewnętrznych. Do tej pory widzę zniszczone cukrzycą stopy, otwarte rany kikutów i brzuchów, które pracownicy czystości pielęgniarka opatrunkowa Ela, często sama, a nie raz z lekarzem. Pamiętam jak pacjenci cierpieli przy tych zabiegach...Pamiętam poparzone twarze, dłonie, otwarte brzuchy, osoby na sali pooperacyjnej z drenami, którymi spływały do worków płyny w różnych kolorach.

HIOB

Choć teraz ta ogromna ilość pacjentów zlewa mi się w Jedno Wielkie Cierpienie nigdy nie zapomnę Hioba. Chłopak skończył technikum samochodowe, aby pracować w warsztacie swego ojca. Pracował kilka lat beztrudno, aż zaczęły się bóle nogi. Musiał pilnować pozycji, aby za długo nie stać i nie siedzieć, bo inaczej ten ból się pojawiał. Potem przychodził coraz częściej. Diagnoza — wczesna i ciężka postać miażdżycy tętnic kończyn dolnych. Jakby tego było mało, dołączyła się jeszcze łagodna postać cukrzycy, ale w duecie te choroby sprawiły, że Hiob w wieku 40 lat musiał mieć amputowaną nogę. Najgorszy był ten ból. Nigdy wcześniej, ani potem, nie pamiętam nikogo po amputacji, kto by tak cierpiał. Krzyczał z bólu w trakcie opatrunków, pielęgnacji i rehabilitacji. Przychodziłam do niego z osobą towarzyszącą, aby oszczędzić mu bólu w trakcie pionizacji. Pomimo skoja-

zonego leczenia przeciwbólowego, mężczyzna cierpiał bardzo. Załatwiono Hiobowi czasowy pobyt w hospicjum, aby tam doświadczeni w leczeniu bólu lekarze pomogli mu, gdyż ból utrwala się w mózgu. Trzeba było przerwać to zakłęte koło cierpienia. Dostał tam pompę przeciwbólową, podobno odczuł ulgę. Na drugi dzień po nasyceniu organizmu środkami przeciwbólowymi zawieziono Hioba do kąpieli. Został delikatnie podniesiony z łóżka a potem opuszczony do wanny na specjalnym podnośniku. Cieszył się tą kąpielą, a potem... Umarł.

Taki młody, a tyle bólu. Jedno życie człowiek ma, gdzie tu sprawiedliwość? Każdy z nas już wiedział, że nie ma jej na ziemi. Czy jest kres cierpień inny niż śmierć?

Biblijny Hiob miał nadzieję — *„Lecz On zna drogę, którą kroczę, z prób wyjdę czysty jak złoto.”* HB 23—10,11[1]

„WOLNOŚCI ODDAĆ NIE UMIEM”[10]

Witek kojarzy mi się z tą smutną, ale pełną mocy piosenką zespołu „Chłopcy z Placu Broni”. Witek często bywał na chirurgii, aby leczyć palce stóp. Stracił ich kilka przez odmrożenia i miazdżycę. Lubił czasem wypić, gdy zostały pieniądze po zakupieniu jedzenia. Jedzenie miał z kilku miejsc, czasem ktoś mu coś dał.

Był taki bar w Sopocie, w którym dobra pani Eleonora, kierowniczka, kazała robić dużo zupy dnia, aby każdy biedny, mógł dostać choć talerz zupy i chleb. Bar się zmienił, gdy pani Eleonora przestała pracować, ale został jeszcze zaprzyjaźniony sklep, gdzie można było dostać coś do jedzenia.

Witek nie zawsze był bezdomny. Opowiedział mi, że rodzina wyrzuciła go z domu, w którym mieszkał, bo pił i nie zdążył w odpowiednim czasie pozalać spraw spadkowych. A pił po śmierci kobiety swego życia, którą się opiekował przez wiele lat, aż umarła na jego rękach. „Była taka leciutka” – płacząc opowiadał Witek – „ostatnie miesiące już tylko leżała. Chorowała na stwardnienie rozsiane(SM) przez 20 lat i ja wszystko przy niej robiłem”. Potem Witek chodził do znajomych próbując zasięgnąć rady, jak walczyć o utracony dom. Nie dało rady, sypiał to tu, to tam. Pysznice brał na stacjach benzynowych. Miał kilka takich kamienic, z których go nie wyrzucano, gdyż starał się być czysty. Mieszkańcy znali Witka, dawali mu kanapki. Z biegiem lat coraz częściej zimą trafiał do szpitala. Pewnego dnia, pod koniec pobytu na chirurgii szykowano mu wypis do domu opieki pod Kościerzyną, znalezione po wielkich staraniach przez pracownika socjalnego. Witek odmówił przewozu do tego domu. Siedział już ubrany z lekko zniszczoną, ale pojemną torbą, którą dla niego zorganizowałam. Podeszłam pożegnać się z nim – Witek, czemu nie chcesz jechać do tego domu opieki? Tam byś miał wszystko. Odpowiedział patrząc na swoje stopy – Nie, Iza.

Tam nie pojedę... Ja kocham wolność i Sopot.

ŁAŃCUCHY

DAMNATUR*. Kilka razy usprawniałam pacjentów, będących w trakcie aresztu śledczego. Pilnowało ich zawsze dwóch policjantów. Pamiętam tragiczną postać Damnatura. Zabił żonę, podpalił dom i chciał zginąć w płomieniach, ale został uratowany przez strażaków. Przebywał na naszej chirurgii z poparzeniem rąk i twarzy. Miałam go pionizować, ale jego ręka musiała zostać w pasie, a pas był przymocowany do łóżka. Postaliśmy chwilę, potem zadałam mu kilka ćwiczeń w staniu. Damnatu nic nie mówił, nie odpowiadał na pytania. Okno było zablokowane, bo już próbował przez nie wyjść.

Chirurgia jest na czwartym piętrze... Dziękuję pani — to były jedyne dwa słowa pacjenta jakie usłyszałam wychodząc z sali.

MŁODY. Na chirurgii w wojewódzkim miałam usprawniać 27-latkę po operacji woreczka żółciowego. Myślę sobie — nic prostszego.

Weszłam na salę, siedział tam policjant. Przedstawiłam się i rozmawiałam chwilę z chłopakiem. Odkryłam koldrę, a on miał kajdanki na rękach i nogach przymocowane do łóżka.

Powiedziałam — Tak się nie da pracować. Czy mogę prosić o rozkucie pacjenta? Policjant uwolnił chłopaka, poćwiczyliśmy ręce i nogi, usiadł, potem trzeba było ubrać buty, ale nie było to łatwe zadanie. Nogi mu spuchły od kajdanków, bezruchu, a być może z przyczyn pooperacyjnych zaburzeń gospodarki wodnej. Wstał boso. Zrobiliśmy mały spacer do okna. Pacjent był bardzo smutny, cicho podziękował. Policjanci pozostawili więźniowi swobodę ruchów nóg.

SŁAWEK bardzo lubił piwo i chorował na cukrzycę. Stracił nogę na poziomie uda. Lekarze i pielęgniarki walczyli kilka lat o jego stopę.

Rany się nie goiły jak trzeba. Najgorsze było to, że rana kikutu się otwierała. Powiedział mi, że do więzienia w Łowiczu, które było najlżejsze w Polsce północnej, trafił za jazdę na rowerze po kilku piwach. Nie żałował, że tam trafił. Miał w tym więzieniu najlepszą opiekę medyczną i bardzo smaczną dietę cukrzycową, oczywiście nie było alkoholu, miał szacunek personelu i sympatię więźniów. Pracował jako porządkowy na sali gimnastycznej i na boiskach. Mówił- Wie pani, tam było jak w raju, rany mi się wygoiły i nawet miałem podleczonej cukrzycę. No cóż, wyszedł człowiek, to się wszystko popsulo.

Na chirurgię męską trafiało wielu mężczyzn cierpiących z powodu ran stóp spowodowanych ciężką cukrzycą lub z powodu zaniedbań higienicznych. Leczenie tych ran trwało tygodniami, pacjenci wychodzili z zaleczonym stanem i często wracali na ponowne leczenie. Bywało, że stan nogi kwalifikował się do amputacji na różnym poziomie.

*damnatur -potępiony (łac)

DAREK

Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany, z kolorowymi tatuażami przybył na salę nr 9 chirurgii męskiej pod koniec czerwca. Spędził na niej trzy miesiące. Uczta przy czerwcowym grillu nie zakończyła się dobrze; mdłości, straszny ból brzucha, karet-

ka, chirurgia, operacja, leżenie z otwartym brzuchem, co drugi dzień czyszczenie brzucha na bloku operacyjnym- takie było lato Darka.

Nic nie mógł w tym czasie jeść, był żywiony pozajelitowo, dostawał dożylnie codziennie duże białe worki w kropłówce, gdzie było najpierw 1000, potem więcej, a w końcu około 2000 kalorii. We wrześniu nadszedł dzień wypisu, z muskulatury została połowa, piękne tatuaże nie rozpościerały się już na doskonale napiętej skórze. Ale Darek był szczęśliwy, że wraca do domu. Trzymał się za brzuch, bo był on nie do końca zaszyty i miał przychodzić najpierw codziennie, potem raz na kilka dni na zmianę opatrunków. Ilekroć widzieliśmy Darka witał się z nami radośnie trzymając się za brzuch.

JAGODA

Podobnie jak Darek cierpiała Jagoda, tylko nie po grillu, ale po duszonych pieczarkach. W jej przypadku znalazłam diagnozę, ostre zapalenie trzustki. Pamiętam jaka była głodna każdego dnia rano, gdyż musiała być na czczo przed zabiegiem czyszczenia rany, a kleiki także nie syciły. Potem dostawała kropłówki z żywieniem dożylnym, więc głód się zmniejszał. Jagoda musiała zawiesić z powodu choroby swoją firmę, sklep dla zwierząt. Z uśmiechem opowiadała o swojej pracy w sklepie. Po trzech miesiącach wychodziła do domu szczęśliwa, na patykowatych nogach. Dziękowała mi za rehabilitację — Gdyby nie twoja praca nade mną, to chyba bym teraz wyjść nie miała siły.

Cieszyliśmy się tym dniem.

ONE DWIE

Pani Gertruda była jedną ze starszych pacjentek, leżała na chirurgii po operacji jamy brzusznej. Po ćwiczeniach wstępnych, oddechowych i pionizacji zaczęliśmy naukę chodu. Miała tak ograniczony zakres ruchu w biodrach, że stawiała bardzo małe kroczki. Chodziłyśmy na spacer po korytarzu. Opowiedziała mi w czasie pierwszego spaceru, że jej córka i zięć zginęli niedawno w wypadku samochodowym i że zostały z wnuczką same na świecie. Wnuczka przeszła przez kilka operacji po tym wypadku. — mówiła pani Gertruda — Wie pani, złamany kręgosłup to bardzo poważna sprawa. Nie wiedziałam jeszcze w jakim stanie jest wnuczka pani Gertrudy. Pewnego dnia, gdy byłam z panią na sali chorych usłyszałyśmy rozmowę pielęgniarki z nowym młodym głosem kobiecym. Głos ten zbliżał się do nas, a na twarzy pani Gertrudy wykwitła radość i wzruszenie. Na progu sali zobaczyłyśmy piękną, promiennie uśmiechniętą dwudziestoparoletnią dziewczynę, w rozpuszczonych włosach, w jeansach i w różowej bluzie — Babciu! No trafiłam wreszcie do Ciebie! Jak się czujesz?

Pani Gertruda podeszła do niej tak szybko jak nigdy przedtem, pochyliła się nisko i tuliła wnuczkę długo będąc w pochyleniu, bo wnuczka siedziała na wózku. Na takim małym zwrotnym typu Active jakie widziałam na obozach Aktywnej Rehabilitacji.

GAZ I WODA

Kilka razy trafiały do nas osoby poparzone gazem. Straszne były te rany. Brzuch Jadzi był jak wielka czerwona rana prawie bez skóry, gdyż miała na sobie styłonową bluzkę, gdy pochyliła się nad garnkiem. Płomień był duży, a ona pochyliła się zbyt blisko, materiał styłonowy się stopił i już nie mogła tej bluzki zdjąć...

Pani Leokadia miała podudzia bez skóry. Opowiedziała jak to się stało. Przyszli tacy dwaj handlarze z butlą. Cenę mieli o wiele niższą, niż w gazowni. No to kupiliśmy, bo u nas bieda ostatnio. Kilka dni było normalnie. No i tego dnia siedzę sobie na kanapie, stary zapalił pod czajnikiem i raptem słyszę jakiś świst i zobaczyłam łunę ognia. Ten ogień przyszedł do moich nóg i kanapy. Poczułam straszliwy ból, a to mi się skóra paliła. Leczenie skóry nóg pani Leokadii wspierały ćwiczenia czynne i izometryczne.

Do naszego Zakładu Rehabilitacji przybył na zabiegi młody imigrant z Ukrainy. Jego plecy, bok, bark i połowa brzucha były jedną wielką blizną po poparzeniu drugiego i trzeciego stopnia. Poparzenie nastąpiło podczas brania prysznicu. Chłopak stracił tam przytomność. Nie pamięta dlaczego się przewrócił. Woda była ogrzewana przez bojler i temperatura wymagała kontrolowania przez osobę biorącą prysznic. Chłopak leżał, a jego plecy były smagane gorącymi biczami wodnymi. Uratowała go sąsiadka, która chciała mu pilnie coś powiedzieć na temat autobusu do Ukrainy. Drzwi wejściowe były otwarte, ale drzwi od łazienki nie. Kolega się nie odzywał, spod szpary w drzwiach buchała gorąca para. Wezwała pomoc i wyważyli drzwi.

Na szczęście.

NIE OSTATNIE

Podobna postać miażdżycy, jaka męczyła Hioba pojawiła się nieco później u pani Felicji. Jej nasilenie wystąpiło w okresie menopauzy, gdy miała już siedmioro dzieci. Pani Felicja przebywała na chirurgii wiele razy. Poznałam ją gdy już była po amputacji obu nóg i kilku palców u rąk. Pani była niewidoma. Cierpiała bardzo, ale nie krzyczała jak Hiob. Być może te najgorsze bóle miała już za sobą, albo leki przeciwbólowe lepiej na nią działały. Mimo to pani i tak bardzo cierpiała, oczekując na kolejną amputację.

Była smutna, nigdy nie widziałam, aby ktoś ją odwiedzał. Odwiedziny były od 13- tej, więc mogłam nie widzieć. Pytałam, czy ktoś przychodzi po południu. Mówiła, że zazwyczaj mąż. Pewnego dnia przyszedł do pani Felicji ksiądz. Nie mogłam od razu wyjść, gdyż musiałam dokończyć coś, co robiłam przy innej pacjentce. Spojrzałam na księdza pytając, a on jakby zrozumiał moje pytanie i odpowiedział – Może pani zostać. Przyszedł udzielić pani Felicji sakramentu Namaszczenia Chorych. Wszystkie przerwałyśmy swoje czynności, złożyłyśmy ręce i razem uczestniczyłyśmy w tym sakramencie.

Ksiądz odmówił formułę wstępną ze swojej książeczki, potem odczytał Ewangelię według świętego Mateusza, w której setnik prosi Jezusa o uzdrowienie swojego sparaliżowanego słu-

gi. Jezus się zgadza i zapowiada, że przyjdzie do domu setnika i uzdrowi go.

Setnik odpowiedział pełen wiary; *„Panie nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, ale powiedz tylko słowo, a mój sługa odzyska zdrowie.”* Mt 8,8—9 [1]... Następnie były piękne prośby za chorą i za wszystkich, którzy ją leczą i pielęgnują. Potem jeszcze kilka podziękowań Bogu z naszymi odpowiedziami; „Błogosławiony jesteś Boże teraz i na wieki”. Następnie usłyszałyśmy słowa; „Boże, niech twoja służebnica, która z wiarą przyjmuje namaszczenie świętym olejem, otrzyma ulgę w cierpieniach i umocnienie w słabościach (....). Amen.”[11] Po tych słowach ksiądz dotknął czoła i obolałych dłoni pani Felicji, wypowiadając jeszcze formułę sakramentalną.

Wzruszyłam się tą wspólnotą w modlitwie na sali chorych, czuło się łaskę, która wzmocniła nas wszystkich. Szkoda, że ludzie proszą o namaszczenie chorych zwykle za późno.

To jest wspaniały Dar dla człowieka udręczonego bólem i lękiem.

ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI MEDYCZNEJ

Jest to jeden z najtrudniejszych oddziałów dla pacjentów i ich najbliższych: zagrożenie życia, unieruchomienie, przymusowe trudne zabiegi medyczne i opiekuńcze. Nie było to miejsce mojej codziennej pracy, wzywano mnie tam czasem, gdy kolega, później koleżanka byli nieobecni. Bywało, że chodziłyśmy



fot 5

z koleżanką razem, gdy było dużo zleceń. Wykonywaliśmy tam głównie ćwiczenia bierne.

Zazwyczaj przebywają na OIOM-ie pacjenci po wypadkach, z powikłaniami pooperacyjnymi, w trakcie pogorszenia leczonej choroby ostrej lub przewlekłej.

Trafiła na ten oddział także moja droga teściowa Alina, kilka dni przed Wigilią, wcześniej pogotowie zabrało ją na izbę przyjęć, a wieczorem na oddział wewnętrzny. Mój mąż rozmawiał z mamą po raz ostatni tego dnia, była pełna nadziei na wyzdrowienie i nawet żartowała. W nocy poczuła się gorzej, a potem straciła przytomność. Lekarz dyżurny i pielęgniarki natychmiast rozpoczęli reanimację. Nie odzyskała

przytomności, ale akcja serca i oddech zostały przywrócone. Alina została przewieziona na OIOM, gdyż jej oddech był płytki i nieregularny. Musiała zostać podłączona do respiratora. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się o wszystkim od lekarza, który zadzwonił do męża...Prawie nie mogłam jej poznać pod respiratorem. Tak bywa na tym oddziale, że łatwiej poznać człowieka po rękach i nogach. Dochodzi do naszej świadomości, jak bardzo jesteśmy zależni od pomocy medycznej. Gdyby nie opieka wykwalifikowanego personelu, wielokrotnie życie ludzkie kończyło by się szybciej. Przychodziłam do teściowej codziennie, ćwiczyłam jej ręce i nogi, mówiłam do niej. Nie mogłam nic więcej. Były dni, że próbowano odłączyć ją od respiratora, ale dopiero po czterech tygodniach udało się to zrobić. Przyszedł czas, że ordynator zdecydował o wypisie teściowej. Było to szokiem dla nas, bo jej świadomość nie wróciła. Musieliśmy podjąć decyzję; albo bierzemy teściową do domu albo godzimy się na proponowany dom opieki. Rozważaliśmy opiekę w domu, ale nie można było na szybko załatwić butli tlenowej. To była zima, a my dogrzewamy się kominkiem. Były też innego typu problemy techniczne i lęk, że nie damy rady. Zaproponowano nam pewien dom opieki. Pojechaliśmy z mężem sprawdzić to miejsce. Niestety nie był to odpowiedni dom do przyjęcia tak chorej osoby. Mąż i ja prosiliśmy ordynatora, aby przeniósł mamę na oddział wewnętrzny, ale on powtarzał, że nie ma takiej możliwości. Byliśmy określani jako – „rodzina, która się nie zgadza na wypis”.

Cóż było robić, zgodziliśmy się na kolejny zaproponowany nam dom opieki, który- „jest dobry, znajdują się tam na odsysaniu

i jest blisko szpitala”... Zaufaliśmy pracownikowi socjalnemu. W dniu wypisu Alina leżała na łóżku spokojnie bez kroplówek. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Kazano mi odejść, bo zaraz miał być transport. Tak się stało, około godziny 16 przewieziono ją do domu opieki pod Wejherowem. Mąż chciał jechać za karetką, ale odradzono mu, bo — " I tak pan nic nie załatwi, a rano trzeba pojechać na rozmowę z lekarzem prowadzącym”.

Na drugi dzień około 7:30 rano zawiadomiono nas przez telefon, że teściowa zmarła nad ranem... Żal nie do opisania ogarnął nas. Mąż ze swoją siostrą pojechali tam, aby pożegnać się z leżącą na łóżku zmarłą mamą...

Mamy żal do siebie, że nie pojechalismy do domu opieki, aby dopilnować, aby lekarz tej instytucji przejął opiekę nad Aliną. Poinformowałam lekarza, który prowadził leczenie teściowej na OIOM, że zmarła około 12 godzin po wypisie.. Odpowiedział bez namysłu — „Taka karma.” Wolałabym usłyszeć —współczujemy, albo bardzo mi przykro, albo cokolwiek medycznego... Mieliśmy ukryty żal do szefa o świadome dopuszczenie do zgonu, tak to czuliśmy jako bliscy zmarłej. Po pewnym czasie wybaczyłam mu. Zrozumiałam, że być może oczekiwaliśmy od lekarzy tak zwanych środków nadzwyczajnych, chociaż prosiliśmy tylko o jeszcze kilka dni na innym oddziale... Pracując na internie słyszałam nieraz jak ordynator oddziału uczył młodych lekarzy — zaniechanie nadzwyczajnej opieki medycznej jest etyczne, jeśli wyniki badań wskazują na wyraźną przewagę katabolizmu obserwowaną przez kilka tygodni i jeśli nie ma powrotu świadomości w podobnym czasie obserwacji. Te dwa powody mogą być rozpatrywane oddzielnie przy towarzyszących innych poważnych stanach jak na przykład

stan terminalny w chorobie nowotworowej lub wiek starczy z niewydolnością układu krążeniowo-oddechowego. Pozostaje otwarte pytanie, czym jest nadzwyczajna opieka medyczna. Pojęcie to zmienia się z upływem czasu. Zawsze jest to bardzo trudna decyzja dla lekarza w jego sumieniu i wobec rodziny pacjenta. Nasz pradziadek w 85-tym roku życia wyraził swoją wolę mówiąc — Jakbym zaniemógł, tak poważnie, to nie ratujcie mnie. Nie chcę Panu Bogu stawiać w poprzek.

Podziwu godna determinacja człowieka, który przeżył dwie wojny i kilka powstań. Bywało, że teściowa wypowiadała się podobnie, ale było to zwykle w czasie nasilenia się jej dolegliwości, więc nie braliśmy tego pod uwagę ... Mój ojciec zawsze powtarzał — Lekarz ma obowiązek ratować, leczyć, łagodzić cierpienie do naturalnej śmierci człowieka. Tak uważa większość ludzi... Później, gdy byłam oddelegowana do Gdańska wiele razy obserwowałam problem wypisywania ciężkich pacjentów. Szef gdańskiego OIOM chodził energicznie po oddziale wydając liczne polecenia, i czasem zdenerwowany mówił do siebie: „Czemu wypis? Bo to nie hotel!”...Czuł presję rodzin każdego dnia. Nikt nie chce być na OIOM dłużej niż to konieczne, ale bliscy pacjenta boją się odłączenia go od licznych urządzeń monitorujących ...

Alina była bardzo słaba przez ostatnie trzy lata życia, nie mogła już wychodzić z domu po zakupy, co bardzo lubiła, gdyż bała się utraty równowagi na schodach. Była teściową niezwykle, czułam, że mnie lubi. Często mi doradzała— Nie męcz się, niech Andrzej to zrobi. Nie pracuj tak ciężko, wzięłabyś sobie pracę w jakiejś rejestracji. Synowi zawsze mówiła— Masz dobrą żonę, dbaj o nią. Gdy dowiadywała się o czyjejś śmierci,

od razu mówiła — Wieczny pokój... Mam nadzieję, że jej dusza doznaje wiecznego pokoju.

TAK NIEWIELE

Po raz pierwszy poznałam osoby ze Stwardnieniem Zanikowym Bocznym (SLA) na oddziale OIOM. Zobaczyłam pacjentów powyżej 55 roku życia ze wspomaganym oddechem pod respiratorami. Były to osoby w ciężkich stanach. Najłagodniej przechodziła swój kryzys pani Basia, która co prawda miała respirator, ale był on ustawiony na wspomaganie jej naturalnego oddechu, kiedy stawał się on zbyt płytki. Pani Basia zwykle trzymała w dłoniach książkę Joanny Chmielewskiej (miała ich kilka) i UŚMIECHAŁA SIĘ czytając i darzyła uśmiechem personel. Zwykle w kryzysach choroby SLA trzymanie książki jest niemożliwe. Uśmiech jest bardzo trudny. My, fizjoterapeuci pracowaliśmy z tymi pacjentami ćwicząc biernie ich ręce i nogi, a dopiero pod koniec pobytu wykonywaliśmy pionizacje. Pamiętam też innych pacjentów z SLA, którzy nie mogli już zrobić najmniejszego ruchu. Bardzo im współczuliśmy, bo w tej chorobie nie poprawia się stan mięśni, albo bywa, że ta poprawa jest minimalna i na krótko.. Oni o tym wiedzieli i to było najgorsze... Obok pani Basi za ścianką działową leżał 18 -latek, który cierpiał na rdzeniowy zanik mięśni. Był bardzo szczupły, nogi miał przykurczone i ułożone w zgięciu, a tułów w skoliotycznej rotacji, żywienie przez PEG, na twarzy maskę tlenową. Pracował na tablecie, mając władzę tylko w palcach jednej dłoni.

DARIA

Mieliśmy także wezwania na OIOM dziecięcy. Pracowałam tam z niemowlętami, które zazwyczaj spały. Trudno było poruszać tymi drobnymi rączkami i nóżkami, gdyż na każdą kończynę dziecka, oraz na główkę i klatkę piersiową zakładano wenflo-ny z kroplówkami i urządzenia pomiarowe. Najstarszą pacjentką tego oddziału była 16-letnia Daria. Po wypadku samochodowym z urazem głowy Daria musiała przejść operację odbarczenia mózgu. Usunięto jej część kości skroniowej i z boku głowy miała wypukłość wielkości przyłożonej połówki jabłka. Byłam u niej kilka razy, ćwiczyłyśmy nogi, jedna okazała się trochę słabsza. Wypukłość na szczęście codziennie malała, a noga stawała się silniejsza. Po udanej pionizacji i pierwszym spacerze do toalety Daria promieniała radością. Cieszyła się, że wkrótce wyjdzie z OIOM. Została przeniesiona na neurochirurgię, gdzie miała mieć rekonstrukcję kości czaszki.

WSZYSCY

Ze wzruszeniem wspominam pracę na oddziałach OIOM Zaspy i Gdańska. Pamiętam strajk głodowy anestezjologów, po którym wszyscy bardzo schudli i pierwszego szefa OIOM na Zaspie, człowieka pogodnego, z wielką pasją zawodową. Dostał zawału serca w czasie dyżuru i ratowano go na jego ukochanym oddziale. Jestem wdzięczna anestezjologom, którzy prowadzili sedację głęboką naszych córek w trakcie ope-

racji laryngologicznych oraz znieczulenia w trakcie moich i mojej mamy operacji. Pracownicy OIOM szanowali pracę fizjoterapeutów. Zawsze witali nas z radością. Atmosfera na ogół była tu pogodna, z wyjątkiem trudnego czasu akcji ratowania życia pacjenta. Wówczas powietrze przecinają tylko krótkie, wyraźne polecenia. Personel potrafi pracować w wielkim skupieniu, pośpiechu i napięciu nieraz przez wiele godzin, także na innych oddziałach, gdzie są wzywani do reanimacji. W spokojniejszym okresie rozmowy związane z oddziałem i życiem prywatnym często są przeplatane śmiechem. Dzięki temu łatwiej się pracuje i łatwiej jest znieść fakt, że ciało człowieka jest bardzo delikatną materią, a życie czasem zależne od aparatury medycznej... Cieszy nas to, że dzięki coraz lepszej diagnostyce i terapii oraz pracy medyków udaje się przedłużać życie ludzkie o parę lat, miesięcy lub dni. Czasem te kilka dni, a nawet kilka minut ma ogromne znaczenie dla najbliższych. Bywa, że ostatnie słowa lub gesty wyrażają miłość lub prośbę o wybaczenie. Dla bliskich mają one ogromną wartość.

Z NICH ZAŚ NAJWIĘKSZA JEST MIŁOŚĆ-Kor13,13

Zdarzyło mi się kilka razy na oddziale wewnętrznym być przy terminalnym samotnym pacjencie w momencie jego zgonu. Trudno opisać to uczucie. Chciało się krzyczeć na cały oddział, ale wiedząc, że nie będzie reanimacji, głos zamieniał się w przestraszony wdech i wszystko milkło w szacunku do Tego,

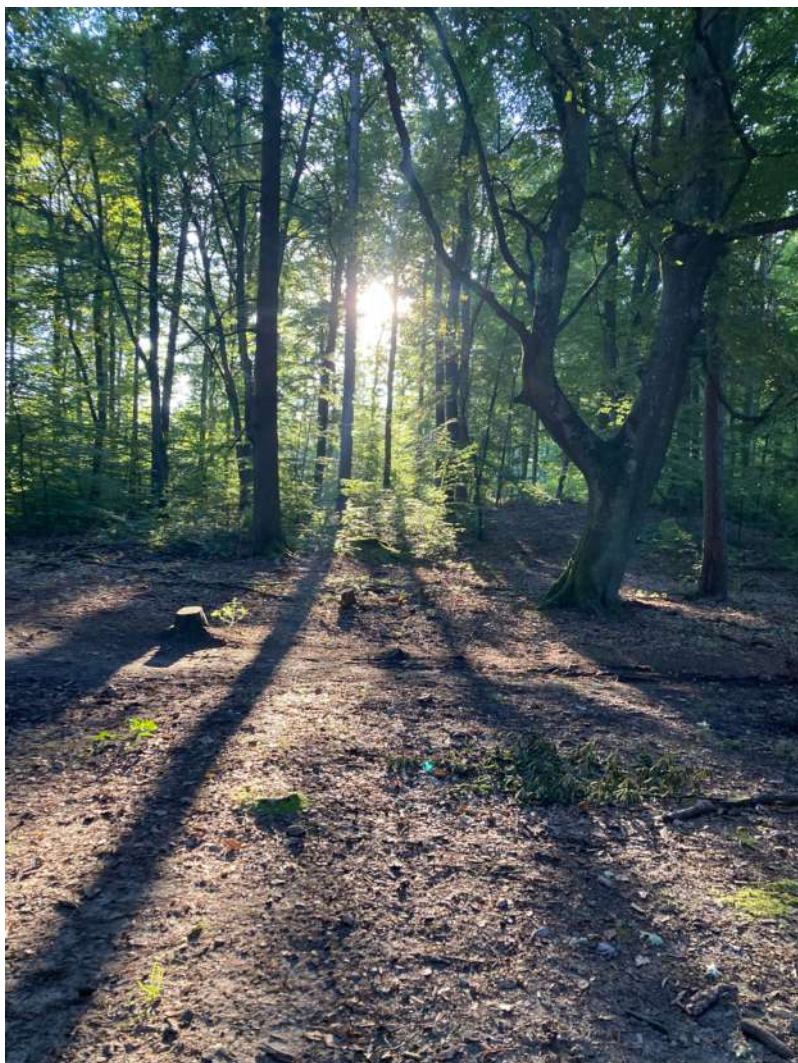
co się działo. Czuło się jakby Duch wypełniał całą przestrzeń, a ja, mała istota jestem świadkiem czegoś wielkiego, tajemnicy Przejścia.

Moja mama niestety nie była w momencie odejścia babci, choć bardzo chciała być z Nią w tej chwili. Po śmierci mojego ojca stały się sobie bardzo bliskie. Babcia Wala była kochającą teściową. Gdy zaczęła ciężko chorować, mama dbała o nią jak mogła, potem częściej sypiała u babci, aby pomagać jej w nocy. Mówiła, że nie wyobraża sobie wyjazdu babci do Hospicjum. Babcia sama postanowiła tam pojechać. Decyzję tą podjęła, gdy poczuła, że nadszedł czas. Powiedziała do mamy – Kotusiu, to nieuchronne, już postanowiłam. Przeżyła w hospicjum mniej niż dwa tygodnie. W ten ostatni dzień mama siedziała przy babci przez wiele godzin, mówiła, że zobaczy Nowe Życie, męża i syna. Babcia wierzyła w jej słowa i była spokojna. Pod wieczór zasnęła i mama pojechała do domu, gdyż była już bardzo zmęczona. Nie zdążyła dojechać, gdy zadzwonił telefon z hospicjum. Wróciła.

Zmarłą Babcię przewieziono do specjalnego Pokoju Pożegnania. Mamie było tak bardzo smutno, że uniosła Ją trochę z poduszki i przytuliła czule. Płakała i mówiła do Niej słowami miłości, ucałowała, zrobiła Jej krzyżyk na czole, tak jak Babcia zawsze robiła bliskim. Zgodnie z Jej wolą zagrano na pogrzebie melodię – „Kiedy znów zakwitną białe bzy” [12]

Melodia ta zagrana na trąbce wzruszyła nas głęboko. Babcia chciała wyrazić swoją wiarę, że idzie na spotkanie z ukochanym Arkadiuszem i że czuje miłość, jak wtedy, gdy zatańczyli po raz pierwszy przy tej melodii na balu Uniwersytetu Wileńskiego. Czuło się Jej przesłanie –

MIEJCIE WIARĘ, NADZIEJĘ I MIŁOŚĆ.



fot 6

MIŁOŚĆ NIEŁATWA

DAWID

Moja koleżanka Marzenka, z którą pracowałam w Sanatorium pragnęła stworzyć szczęśliwy dom, jak większość młodych kobiet w naszym wieku. Mężczyzna, którego wybrała był gotowy także na adopcję dziecka. Niestety, różne okoliczności uniemożliwiły spełnienie ich pragnień. Marzenka bardzo kochała dzieci. Angażowałyśmy się w pracę do tego stopnia, że przychodziliśmy na zmianę w wolne soboty, aby uwolnić dzieci z męczącej je nieruchomości. Marzenka poznała tam i usprawniała Dawidka, który przybył do Sanatorium z Domu Małego Dziecka. Potem został przeniesiony do szpitala z powodu infekcji, przebył długie leczenie i wciąż nie miał domu rodzinnego ani zastępczego. Potem wrócił na krótko do Domu Małego Dziecka, ale tam było mało miejsc i tylko dla najmłodszych dzieci. Po długich staraniach Dawidek dostał miejsce w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznicznym w Chełmnie, gdzie przebywał do końca swojego niedługiego życia. Żył tylko 11 lat. Marzenka odwiedzała Go we wszystkich kolejnych placówkach medycznych i opiekuńczych. Dawidek bardzo się cieszył z tych odwie-

dzin. Wszystko się zmieniało, ale Marzenka myślała o Dawidku, odwiedzała Go wszędzie dokąd los Go poniosł.

PAMIĘTNIK

Andżelikę poznałam na internie na sali specjalnego nadzoru. Od razu zdziwiłam się, że osoba z tak śliczną buźką leży na sali, gdzie zwykle przebywają pacjenci starsi, z twarzami umęczonymi chorobą i cierpieniem. Twarz Andżeliki była okrągła, blada, włosy czarne i proste, oprawa oczu i brwi czarne. Wyglądała jakby była Koreanką. Na kołdrze leżały jej chude ręce oplecione licznymi kabelkami. Na pierwszym spotkaniu przyznała, że jest alkoholiczką od 13 lat, a miała ona 26 lat. W szpitalu była już kilka razy w ciężkim stanie. Poćwiczyłyśmy na leżąc na ile miała siły, potem spróbowała posiedzieć ze spuszczonej nogami. Nie trwało to długo, pozycję siedzącą utrudniał wzdęty brzuch od marskości wątroby, przewodnienie jamy brzusznej, niewydolność krążeniowo-oddechowa. W łóżku misiu, na szafce słodczy, jakieś napoje, kosmetyczka, gruba książka z gatunku fantasy, na niej zeszyt i długopis. Przychodziłam do Andżeliki codziennie. Cieszyło ją wszystko, że był lekarz i powiedział coś pociesającego, że udało jej się trochę zjeść, a pacjentce na sąsiednim łóżku z czymś się poprawiło, że ja przyszłam i w końcu wstała przy chodziku na swoich chudych nogach. Pionizacja przy chodziku trwała kilka dni, potem zaczęłyśmy naukę chodzenia, najpierw po sali, potem po korytarzu. Za każdym razem cieszyła się swoim sukcesem jakby zdo-

była szczyt góry. Kiedyś na spacerze ugięły się pod nią nogi. Podtrzymałam ją pod rękę, więc nie potłukła kolan, ale ciężko było wstać. Jej mięśnie miały duże niedobory siły i masy. Ponadto brzuch jak w 7 lub 8 miesiącu ciąży utrudniał jej zachowanie równowagi. Pewnego dnia poprosiła mnie o długopis i gruby zeszyt, bo to co miała zapisała i wypisała. Zainteresowałam się co takiego pisze. Andżelika wyszeptała –

„Od pewnego czasu piszę Pamiętnik Upadłego Anioła. Moje życie było bardzo trudne, ale mam nadzieję że wyjdę z tego i jeszcze będzie dobrze”... Wzruszona zapewniałam ją, że na pewno wyjdzie z problemów i będzie mogła robić to co lubi. Powiedziałam, że chciałabym przeczytać jej Pamiętnik. Kilka razy odwiedzał Andżelikę chłopak, przynosił jej po dwie książki, z których bardzo się cieszyła. Rozmawiali zawsze o Krzysku, który był jej partnerem. Często Andżelika narzekała na partnera mówiąc, że jest nieodpowiedzialny, że zupełnie nie dba o siebie. Nie leczy cukrzycy, nie chodzi na badania, nie pracuje, a smutki zalewa alkoholem i przegryza czekoladą. Opowiadała mi fragmentami swoją historię – “Ten Krzysiek to jest jak duże dziecko. Mówi, że żyć beze mnie nie może i nie mogę nigdzie dłużej pobyt, bo zaraz się dowiaduję, że robi głupoty. Najgorsze jest to, że nie mogę po być trzech miesięcy na odwyku. Kiedyś jak byłam, to przyjechał po mnie grożąc, że skończy ze sobą. No musiałam wyjść i wszystko na marne. Mieszkamy u kolegi na pokoju za darmo, ale tak długo nie może być. Chcę wrócić do pracy tam gdzie byłam, w fabryce tekstyliów w Bydgoszczy. O, takie ściereczki robiłam.” Wyjęła z szuflady trzy złożone na kwadraty kolorowe ściereczki do sprzątania. Powoli rozłożyła jedną

z nich i zaczęła składać opowiadając dalej — “ O, tak się je składa i potem wkłada się do folii. Lubiałam tą pracę. Muszę tam wrócić, bardzo chcę pracować.” Patrzyła się na te swoje ściereczki z takim skupieniem, jakby od tej chwili zaczynało się coś bardzo ważnego... Bo wie pani, my jesteśmy z Bydgoszczy, tam się poznaliśmy w poprawczaku i jak wyszliśmy to już zamieszkaliśmy u niego. Nigdy nie było spokoju, zawsze przychodził ktoś z butelką i zaczynało się. Ja wracam zmęczona po pracy, a on wstawiony. Już kilka razy chciałam odejść ale nie miałam do kogo, domu już nie było.

Był spalony, rodzice się też spalili...” — dziewczyna zamilkła opuszczając wzrok —

„No tak, bo wie pani, oni ciągle pili a nas z bratem wyganiaли, abyśmy poszukali jedzenia i tak to się działo; śmietnik albo kradzież. Pewnego dnia wracamy a tu dom się pali...”

Miałam wtedy 15 lat. Zabrali nas do domu dziecka specjalnego dozoru czyli taki poprawczak, bo już nas mieli na bębunku. Tam miałam wszystko: jedzenie dobre, szkołę i naukę zawodu. Dobrze tam było. Tylko czasem płakałam w nocy, że nie ma już mamy ani domu...”

Pewnego dnia byłam świadkiem takiej sytuacji. Kolega z pospiechem przemierzył korytarz, oparł się zdyszany o ramę łóżka Andżeliki i wysapał. Krzyśka zwinęli. Andżelika szeroko otworzyła oczy — jak to? Kolega odparł z mieszaniną gniewu i niepokoju — Złapali go za kółkiem, zajechał komuś drogę i draka. Nie miał prawka i masz. Na buzi Andżeliki zobaczyłam szczęście — “ No to super! Suuuuuper! Może posiedzi trochę, a ja na spokojnie będę mogła zająć się sobą. Jak wyjdę stąd, to pójde na odwyk. Ooooo, niech by go tam przytrzymali, a na pewno

tak będzie, bo trochę mu się uzbierało. Podleczą mu cukrzycę, nie będzie pił, pochodzi do psychologa. A ja tymczasem się wzmocnię i wszystko zorganizuję.”

Andżelika została wypisana kilka dni później. Żegnałyśmy się życząc sobie szczęścia.

Zadzwoiłam do niej po miesiącu. Okazało się że Andżelika nie mogła odbywać terapii odwykowej z powodu zbyt niskiej wagi i złych wyników wątrobowych i przebywała w szpitalu w Warszawie. Po uzyskaniu lepszych wyników będzie przewieziona na upragnioną terapię. Często wspominam ją widząc książki fantastyczne, które uwielbiała. Mam nadzieję, że pisze dalej swój Pamiętnik Upadłego Anioła i że jest w nim więcej szczęścia.

PUZZLE IOOO

Wojtka przywieziono z OIOM na oddział wewnętrzny. Zlecenie:

ćwiczenia bierne, pionizacja, oklepywanie. Rozpoznanie: zapalenie płuc. Jak to się stało? — pytałam matki i siostry.

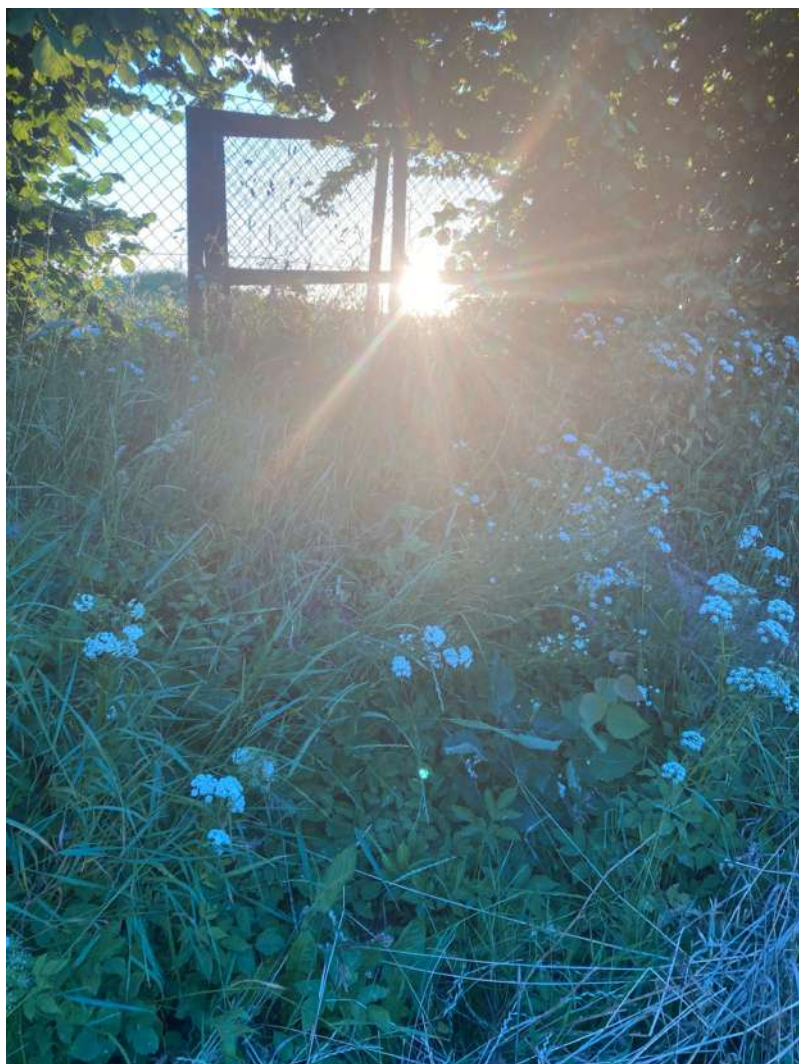
„Nie rozumiemy tego, Wojtuś nigdy nie chorował. Chodził codziennie z Żabianki do Wrzeszcza na piechotę na te swoje warsztaty. Pewnego dnia gorzej się poczuł i nie chciał iść. Pojechał kolejką skm i tak też wrócił. Na drugi dzień miał już gorączkę, wezwałam lekarza. Dostał antybiotyk. Wysoka temperatura utrzymywała się. Wezwałam lekarza jeszcze raz. Dała skierowanie do szpitala i tu go położyli. Po kilku dniach

trafił na OIOM, bo stracił przytomność. Wrócił stamtąd po 5 dniach i widzę, że jest coraz gorzej. Słabo reaguje i ma takie sztywne nogi albo nimi kopie” – mówiła siostra.

Ćwiczyłam Wojtka kilka razy dziennie podczas pobytu na oddziale, gdyż dzieliłam te podejścia na zadania: ćwiczenie bierne głównie nóg, oddechówka z ramionami, pionizacja z siostrą albo z praktykantami. Widziałam, że Wojtek chudnie i miewa napady padaczkowe ...Wojtek umarł po kilku tygodniach pobytu na oddziale wewnętrznym w wieku 30 lat. Rozpacz matki była nie do opisania. Siostra Wojtka poprosiła mnie, abym przyjechała kiedyś do nich do domu, abym zrobiła masaż karku mamie. Przyjechałam i zobaczyłam pokój Wojtka. Miło urządzone w biało-niebieskiej kolorystyce, a na ścianach kilka pięknych obrazów. Przyjrzałam im się. To były obrazy zrobione z puzzli z 1000 elementów oprawione pod szkłem. Usłyszałam – Wojtuś tak lubił te swoje ułożone obrazy, że oprawiałyśmy je, bo żał nam było je popsuć i schować do pudełka.

TY PÓJDZIESZ GÓRĄ

Leżał na sali specjalnego nadzoru na internie. Przykryty tak, że tylko sama głowę było widać. Głowa młodego, przystojnego mężczyzny z przestraszonymi oczami. Pomyślałam sobie – nie chcę tu zlecenia na ćwiczenia. Jak zwykle z młodymi trochę kłopot, bo jestem już w takim wieku, że głupio mi tak od razu proponować „na Ty” ale tak na poważnie i ciągle pan- pani to ciężko i sztucznie. Młodzi zwykle są bardzo zbuntowani



fot 7

i dość ciężko im coś wytłumaczyć, bo wszystko wiedzą. Ale dostałam zlecenie na drugi dzień. Coś strasznego – tetrapareza spastyczna na skutek malformacji naczyniowej w rdzeniu przedłużonym. Tego rozpoznania nie zapomnę chyba nigdy. Trzeba, to trzeba. Jak zwykle po pokonaniu oporu początkowego wszystko idzie łatwiej.

Usłyszałam swój pogodny głos powitania, przedstawiania się, pytania o stan aktualny i za chwilę już ćwiczyliśmy. Pod koniec ćwiczeń pojawili się rodzice Leszka. Zmęczenie, załamanie, nadzieja. Wszystkie te uczucia mieszały się ze sobą. W kolejnych dniach przychodził ojciec i pomagał nam, w czym mógł. Były to ćwiczenia czynno – bierne, bierne, wspomagane i redresyjne oraz mojego pomysłu ćwiczenia reedukacji receptorów czucia. Prosiłam ojca Leszka o przynoszenie kilku owoców i warzyw o podobnym kształcie i wielkości (pierwszego dnia wzięłam te, co były na szafce). Leszek z początku nie wiedział co trzyma. Po kilku dniach już rozpoznawał podane rzeczy. Odkąd osiągnęliśmy ten sukces pracuję tym sposobem z pacjentami, którzy mają zaburzone czucie dłoniowej części ręki. Powoli pionizowaliśmy Leszka, aż mógł on siedzieć do 40 minut. Potem odczuwał ból pleców i osłabienie.

W dniu wypisu ojciec Leszka zapytał mnie, czy podjęłabym się usprawniania syna w domu, gdy wróci z rehabilitacji neurologicznej. Powiedziałam, że raczej nie, gdyż boli mnie biodro, a to ciężka praca. Mimo to, poproszono mnie po dwóch miesiącach o wizyty dwa razy w tygodniu, abym pracowała

z ramionami, stawami łokciowymi i dłońmi oraz ustawieniem głowy i z oddechem Leszka, gdyż widział co robię w szpitalu i twierdził, że nikt tak dokładnie nie pracował z jego górną

częścią ciała. Ojciec Leszka zapewniał, że pionizację przy stole do pionizacji oraz nogi sami ćwiczą.

Oni, czyli rodzice i dziewczyna Leszka. Pola dbała o szczegóły, tak ważne dla chłopaka, który nie mógł sobie poprawić ułożenia ciała. Potrzebował pomocy w każdej czynności. Pola zrobiła na mnie ogromne wrażenie, jej uroda, delikatność w ruchach i słowach, inteligencja oraz wysokie umiejętności zawodowe, wszystko to łączyła z widoczną miłością dla Leszka. Jako pracownik banku jeździła za granicę średnio raz w miesiącu i na 3 dni do Warszawy każdego tygodnia.

Mogła wybrać wiele dróg. Wybrała Tą, na której już była. Idą razem. Pola nagrywa sukcesy rehabilitacyjne Leszka i cieszą się nimi bardzo. Myśląc o nich przypomina mi się wiersz Wisławy Szymborskiej:

Zakochani

Jest nam tak cicho, że słyszymy

piosenkę zaśpiewaną wczoraj.

*„Ty pójdziesz górą, a ja doliną...” Chociaż słyszymy —
nie wierzymy.*

Nasz uśmiech nie jest

maską smutku, a dobroć

nie jest wyrzeczeniem.

I nawet więcej, niż są

*warci, niekochających żałujemy. Tacyśmy zadziwieni sobą,
że coś nas bardziej zdziwić może?*

Ani tęcza w nocy. Ani motyl na śniegu. A kiedy zasypiamy,

We śnie widzimy rozstanie. Ale to dobry sen, Ale to dobry

sen. Bo budzimy się z niego [13]

KOCHAJ PIĘKNIE

Ewa zrobiła na mnie niemałe wrażenie na obozie Aktywnej Rehabilitacji. Obie wchodziłyśmy w skład kadry obozu. Ewa była nauczycielką i prelegentem, ja asystentką samoobsługi uczestników. Dziewczyna poruszała się na swoim małym wózku z niezwykłą sprawnością. Emanowała z niej radość i energia życia. Przed wypadkiem ukończyła pedagogikę na UG oraz kurs poddyplomowy – nauczyciel plastyki. Ewa miała męża i dziecko, które urodziła już będąc po urazie kręgosłupa. Na obozach uczyła uczestników jazdy na wózku, samodzielności oraz podstaw sportów, które były w programie obozu. W czasie trwania obozu organizowano także wieczorami pogadanki w grupach tematycznych. Pogadanki te były poprzedzone prelekcją przygotowaną przez osoby z kadry. Pewnego wieczoru miałam okazję posłuchać Ewy. Temat „Miłość i seks kobiety po urazie kręgosłupa” był tematem niszowym w latach 80-tych i na początku lat 90-tych w Polsce. Podobała mi się część psychologiczna prelekcji. Uświadamiała nam, że to nie uraz, czy choroba sprawiają, że stajemy się mniej atrakcyjne, tylko nasze przekonanie o tym. Aby miłość była piękna i mądra, trzeba kochać zarówno siebie jak i drugą osobę. Miłość dodaje nam urody, podnosi poziom hormonów, dbamy o siebie kochając. Przez cały czas życia jesteśmy osobami atrakcyjnymi, tylko na różny sposób. W sytuacji choroby lub niepełnej sprawności warto odkryć siebie na nowo, jako osobę sprawna inaczej niż do tej pory. Każdy zasługuje na szacunek i miłość. Ewa mówiła – jeśli jesteś z kimś w miłości, to znajdziecie sposób na dawanie sobie przyjemności w byciu blisko. Jeśli jest częściowy brak czucia, to reszta ciała jest

szczególnie wrażliwa. Trzeba odkryć jaki rodzaj dotyku sprawia tobie przyjemność tobie, a jaki ukochanej osobie. Kochamy nie tylko dotykiem i pocałunkami, ale także klimatem, który tworzymy przez cały dzień. Warto ustalić sobie wcześniej, kto kiedy jest bardziej otwarty na dawanie, a kto na odbiór. Jeśli jedna osoba z pary jest po urazie rdzenia kręgowego, a tym bardziej jeśli obie, oczywiste jest, że jedna ze stron musi być bardziej aktywna. Tak bywa także wśród zdrowych par, jeśli nie ma wiele czasu, albo sił. Wymienianie się rolami jest ciekawe i pobudza do inicjatywy, jest dobre, ale nie powinno być wymuszane. Ważna jest szczerłość połączona z wrażliwością na stan drugiej osoby. Czasem warto użyć wyobraźni, aby się odprężyć i poczuć wspaniale. Na przykład, mówiła Ewa, wyobraź sobie, że masz na sobie najpiękniejsze sandaalki na szpilkach, albo że leżycie na plaży egzotycznej wyspy... Dziewczyny nieśmiało zaczęły ujawniać swoje skrywane do tej pory problemy i pragnienia... Na obozach Aktywnej Rehabilitacji osoby niepełnosprawne na wózkach budowały swoje poczucie własnej wartości, szukały nowych możliwości, uczyły się być osobą sprawną inaczej, osobą atrakcyjną. Nawiązywały się przyjaźnie, niektóre pary rozpoczynały wspólną drogę.

ZUPA I CHLEB

Panią Eleonorę poznałam na internecie jeszcze przed pandemią przy łóżku jej chorego męża. Nie zmieniam jej imienia, gdyż z opowieści i z Internetu wiem, że to osoba znana i szano-

wana w Sopocie i nie tylko, a zdobywając środki dla Fundacji pukała do wielu gabinetów. Można przeczytać o niej wpisując w Google – bar mleczny Eleonory Rudnik – Eleonora Rudnik, kierowniczką zamkniętego przed rokiem baru „Bursztynowy”, nie ustaje w pomaganiu potrzebującym. Dziś już myśli o zorganizowaniu dla nich spotkania wigilijnego. Za działalność charytatywną nagrodzono ją właśnie złotym Krzyżem Zasługi(...) Wciąż prowadzi fundację św. Antoniego z siedzibą w niewielkim lokalu przy ul. Pułaskiego. W ostatnich miesiącach wsparła wiele osób. Niektórym kupiono podstawowe produkty spożywcze, innym przekazano odzież, a jeszcze innym pomagano w dostaniu się do lekarzy specjalistów” – czytamy wpis z 2013 roku na sopot.naszemiasto.pl [14]

Przeczytać o niej można także na innych portalach informacyjnych.

Mąż pani Eleonory był wówczas zgięty w łuk. Trudno było utrzymać go w siadzie, nie był w stanie usiedzieć samodzielnie, musiałam go trzymać, mimo to pan był zmęczony po paru minutach. Już nie pamiętam dokładnego rozpoznania, ale wśród licznych chorób na pewno było to zapalenie płuc, odleżyny i stan pogarszającej się sprawności umysłowej. Pani Eleonora chciała pomagać mu jak najwięcej, ale niewiele mogła, nawet poić pana nie pozwalano, gdyż miał założoną rurkę do żołądka.

Pani Eleonora jedynie mogła siedzieć przy nim, trzymać jego rękę lub głaskać po głowie, pocieszać i zapewniać o swojej miłości. Robiła to wszystko codziennie przez około 2 godziny albo krócej jak była zmęczona. Pani była pochylona, cierpiała na bóle kręgosłupa i stawy barkowe. Zatroskana bacznie obserwowała męża i od czasu do czasu zgłaszała coś personelowi.

Dziewczyny zapracowane nie zawsze mogły reagować tak szybko jak Pani by chciała. Widząc jak mąż cierpi, kobieta cierpiała emocjonalnie bardzo. Ostatnie dni pan Józef spędził na sali z obcokrajowcem, z którym pani Eleonora nie mogła się porozumieć. Wcześniej rozmawiała często z pacjentami z sali na tematy związane z mężem np., czy spał w nocy, czy jęczał, kiedy była toaleta. Bardzo jej brakowało tych informacji. Pan Józef umarł rano.

Pani Eleonora zadzwoniła do mnie za miesiąc z prośbą o rehabilitację barków. Była jeszcze bardziej pochylona i zbolala jej oba barki były bolesne z dużym ograniczeniem ruchu. Jeden staw w stanie zapalnym. Pani oprowadziła mnie po mieszkaniu, dłużej zatrzymując się przy fotografiach rodzinnych. Pan i pani wyglądali na szczęśliwą parę. Pani Eleonora pokazała z dumą podziękowanie od marszałka woj pomorskiego za działalność Fundacji założonej przez panią Eleonorę na rzecz biednych rodzin w Sopocie. Opowiedziała mi o swoim życiu i pracy.

Urodziła się w Trokielach. Ze wzruszeniem wspominała dzieciństwo i wczesną młodość i kościół w Trokielach. Spędziła tam wiele godzin na modlitwie. Potem opowiedziała o technikum gastronomicznym, które ukończyła z wyróżnieniem. Zaproponowano mi pracę jako kierownik restauracji. Nie chciałam restauracji, bo tam byłby alkohol. Wzięłam ten bar i to była dobra decyzja — mówiła pani Eleonora. U nas w barze było czysto i smacznie. Ceny były zawsze przystępne, dlatego miałam dużo klientów. Pewnego dnia zobaczyłam, że patrzy przez okno ktoś biedny. Wysłałam z baru, zapytałam czemu nie wchodzi. Powiedział, że nie ma pieniędzy. Zaprosiłam go do środka, przyniosłam mu talerz zupy z wkładką i koszyczek chleba. Jadł

łapczywie, aż poczuł sytość. Od tej pory zarządziłam gotowanie dodatkowego garnka zupy i prosiłam pracowników, aby mnie informowali, gdy zobaczą kogoś biednego, kto stoi pod barem. I zaczęli przychodzić biedni. Staralam się, aby nikt kto przechodził koło baru, nie odchodził głodny. Rozmawiałam z nimi, dowiedziałam się jak wiele jest biednych rodzin w Sopocie i wtedy postanowiłam zrobić im paczki żywnościowe na święta. Zorganizowałam spotkanie przed Wigilią i tak już było co roku. Założyłam Fundację i zbierałam środki na te paczki. Dzięki wpłatom i darom dla Fundacji mogliśmy robić paczki częściej i lepsze.

Po zamknięciu baru mieszkanie w Sopocie oddaliśmy synowi, a my z mężem zamieszkaliśmy tu, na Żabiance. Cały czas działałam w Fundacji. Pomaganie to moja radość i sens życia — pani Eleonora otarła łzy — ale będę musiała ograniczyć tę działalność bo nie mam już siły. Chociaż może ...pani Izo, proszę mi pomóc, żeby mnie te barki tak nie bolały. Przychodziłam do pani Eleonory dwa razy w tygodniu, potem raz w tygodniu. Często pachniało gotowaną zupą, którą pani Eleonora mi proponowała. Mówiła: zupa musi być. Syn czasem wpada i zawsze ma ochotę na zupę. Kiedyś właśnie tak było. Usłyszałyśmy zgrzyt otwieranych drzwi, wszedł syn wysoki, przystojny, pochylił się nisko, aby pocałować mamę. Pani Eleonora przedstawiła nas i powiedziała jak matka i jak szefowa baru — weźcie sobie zupę, bardzo smaczna. Chleb świeży, można brać. Pani Eleonora ze wzruszeniem wspomina stryja, który wychowywał ją i jej brata, gdyż wcześniej zostali sierotami. Mówił on: Jak nie zjesz sama, a oddasz komuś innemu, zobaczysz, jak lekko zrobi ci się na duszy. To zdanie stało się filarem Jej postępowania.

WYBRANY

Nigdy nie zapomnę jednej z moich pierwszych pacjentek na oddziale wewnętrznym. Pani Ula leżała przez większość czasu. Wstawała tylko z pomocą i przy chodziku. Była osobą dializowaną od kilku lat, miała wiele zmian ubytkowych w kościach i mięśniach. Na początku lat 90-tych dializoterapia nie była jeszcze na tak wysokim poziomie technicznym jak teraz, urządzeń do dializ było niewiele. Pani Ula działała w gdańskim klubie dializowanych. Ze względu na małą ilość dializatorów młodzi pacjenci w stanie ostrym do 40 roku życia mieli pierwszeństwo do tej terapii. Prowadziło się ją często do końca życia, lub do czasu otrzymania nowej nerki. Pani Ula uważała, że ma szczęście, ponieważ dostała się na dializy. Była zawsze pogodna i każdemu mówiła komplementy, które nieraz były bardzo oryginalne. Nie mówiła ich tak na gorąco. Zawsze obserwowała osobę i przygotowywała się, aby komplement podkreślał to, co najlepsze.

Mówiła na przykład- pani jest jak powiew wiosny, przynosi pani nadzieję na poprawę wszystkiego. Do smutnej zazwyczaj osoby – ma pani piękny uśmiech. Do niezbyt zadowolonego ze swej sytuacji masażysty – pana ręce uzdrawiają.

Do zawsze spieszącego się lekarza, mówiła – doktorze, jest pan bardzo dobrze zorganizowany. Do najstarszej pielęgniarki – nie ma to jak mistrzowska ręka z największym doświadczeniem. O swoim mężu, wiecznie zmęczonym i jakby na kacu – Edu jest dobrym człowiekiem. Ja niestety ciągle w szpitalu, ale jakoś on daje sobie radę. Do mnie – pani Izo, pani jest tu niezastąpiona, tak czekamy na pani kojący głos, fachowość i dobroć. Pani Ula

roztaczała swoją empatię i wdzięczność w każdej sytuacji. Często odwiedzali ją lekarze i pacjenci z dializ, między innymi ciemnowłosy pan Piotr, stolarz o ciepłym uśmiechu z niezwykle białymi zębami jak na osobę cierpiącą na niewydolność nerek. Opowiedziała mi, że będąc w społecznej komisji klubu głosowała, aby walczyć o dializy dla Piotra, gdyż był komplet młodych w kolejce. Piotr miał wtedy 43 lata i troje dzieci. Udało się i Piotr przeszedł. Odwiedzał panią Ulę na oddziale dwa razy w tygodniu, po dializie. Mijały lata, Pani Ula odeszła do Krainy Odpoczynku, a Piotra widywaliśmy w szpitalu jeszcze przez wiele lat.

Rozwój dializoterapii dał wszystkim chorym nadzieję na godne życie z niewydolnością nerek. Powstało wiele stacji dializ, przybyło stanowisk dla dializowanych, usprawniono i skrócono czas oczyszczania krwi. Dynamiczny rozwój w dziedzinie transplantologii oraz leczenia immunosupresyjnego dał szansę wielu pacjentom na normalne funkcjonowanie bez dializ. Ogromną rolę wspierającą psychicznie i socjalnie pełnią organizacje zrzeszające osoby z ciężkimi chorobami nerek.

WYBRANA

Pani Jolanta przychodziła do nas kilka razy na turnus dwutygodniowy na salę gimnastyczną, pełna uroku osobistego i uczucia wdzięczności. Choć opierała się na chodziku, cała jej sylwetka wyrażała pragnienie sprawności i radości życia. Pragnęła tego koncentrując się na choćby najmniejszej poprawie

i sprawiała wrażenie, że już wchodząc na salę czuje tą poprawę i jest nam za nią bardzo wdzięczna. Pani Jolanta na jednym z turnusów opowiedziała mi swoją historię choroby...

W młodości trenowała balet, najpierw w szkole baletowej, potem przez pewien czas jeszcze, jako nauczycielka baletu dla dzieci, studiowała języki obce. I po tym wyznaniu zrozumiałam jej piękną sylwetkę, pastelowe kolory i zawsze ściągnięte stopy w zgięciu podeszwowym, gdy tylko nie dotykały ziemi. W latach 80-tych pani Jolanta zaczęła pracować dodatkowo jako przewodnik wycieczek do sąsiednich krajów, znając bardzo dobrze język rosyjski oraz w zakresie podstawowym do komunikacji język angielski, czeski i słowacki. Mile wspomina wszystkie wycieczki, ale o jednej, do Czarnobyli opowiadała ze smutkiem. Była to wyprawa badawcza ze studentami i doktorantami. Przez kilka dni po wybuchu utrzymywano to w tajemnicy. Właśnie wtedy wyprawa się odbyła, gdyż była wcześniej zaplanowana. Uczestnicy wyprawy odczuli pewne dolegliwości, ale nikt nie wiedział od czego. Gdy dowiedzieli się już o wybuchu, zgodnie z zaleceniami przyjęli jod w różnej postaci. Ale to nie pomogło wystarczająco, gdyż byliśmy w samym centrum — mówiła pani Jolanta z wielkim smutkiem — wszyscy zachorowaliśmy na białaczkę lub inne choroby nowotworowe. Wszyscy z tej wyprawy już poumierali. Ja jeszcze walczę. Powinnam już nie żyć, bo byłam najstarsza. Na pewno wiele zawdzięczam profesorowi z Klinicznej. Powiedział tak: Ma pani już dziecko, i lata już średnie. Ten rodzaj białaczki najczęściej przerzuca się się na macicę, a wtedy już trudniej i operować i leczyć. Zróbmy to teraz, a będzie pani spać spokojnie.

Zgodziłam się — mówiła pani Jolanta — i nie żałuję. Potem nieraz słyszałam o takich powikłaniach białaczki popromiennej. A mój syn jedyny ma synka i ja się nim opiekuję. Mam dla kogo żyć. My układamy puzzle, czytam mu i uczę go religii, bo on pójdzie do Komunii....Po 5 latach pani Jolanta mówiła tak — jeszcze muszę żyć, bo w wnuczek przychodzi, przygotowuję go do Bierzmowania, oni by nie zadbali o to. A po bierzmowaniu, to już pewnie nie będzie tak często przychodził, bo koledzy by się z niego śmiali. Wie pani jak to jest. Ale mam nadzieję, że jeszcze czasem wpadnie na obiad. Bo wie pani, u młodych to nie zawsze jest normalny obiad, zapracowani oboje....

Sił mam coraz mniej, ale może po to miałam tyle żyć, aby pomóc synowi wychować Karolka... Pani Jolanta przynajmniej raz w roku usprawnia się w naszym Zakładzie.

RZECZ WZGLĘDNA

Wizyty w domu opieki na zawsze pozostawiają w człowieku lęk przed starością, niepełnością i samotnością. Byłam kilka razy w takich miejscach odwiedzić osobę niepełnosprawną. Za każdym razem wychodziłam z postanowieniem, że nie oddam bliskiej osoby w takie miejsce. Pewnego dnia na internie pojawił się Roman. Młody 30-latek o przyjemnej fizjonomii zamyślonego naukowca. Roman nic nie mówił, był bardzo szczupły i błydy, ubrany w szpitalną piżamę. Nie było na jego szafce niczego osobistego, nawet ręcznika. Jediną jego rzeczą był pluszowy miś, niezbyt czysty, z naderwanym uchem, który dla Romana był bardzo

ważny. Trzymał go cały czas i wpatrywał się w pluszaka z taką uwagą, jakby go przed chwilą dostał. Otrzymałam zlecenie na usprawnianie pacjenta, lecz on nie spełniał moich poleceń, oprócz jednego: idziemy na spacer. Chodziliśmy więc po korytarzu. Trzymałam go pod rękę. W drugiej ręce trzymał misia i co chwilę podnosił go wyżej, jakby chciał go komuś pokazać lub może chciał, aby miś lepiej „widział” korytarz. Roman był leczony na zapalenie płuc, odwodnienie oraz liczne zmiany na skórze, które mogły być wynikiem zaniedbań higienicznych.

Młody pacjent jadł bardzo łapczywie, ale dopiero wtedy jak mu się powiedziało — jedz Roman. Wcześniej nie dotykał talerza.

Podobno ktoś z sąsiadów zgłosił do opieki socjalnej sprawę Romana. Osoba, z którą mieszkał nie wyprowadzała go z domu. Sąsiedzi słyszeli nieraz jej krzyk...

Roman doczekał się dnia wypisu do Domu Opieki w Gdańsku Osowej. Wszyscy żegnaliśmy Romana ciepło życząc mu udanego pobytu w „sanatorium”.

DZIEŃ I NOC

Jest pewna grupa chorób szczególnie okrutnych, które stopniowo odbierają siły dziecku. Zaczyna się od tego, że nie mogą podbiec, że się przewracają. Są to choroby wrodzone neurologiczne.

Poznałam kilka osób z rdzeniowym zanikiem mięśni z angielskiego Spinal Muscular Atrophy (SMA). Od 2019 roku



fot 8

można trochę opóźnić postęp choroby drogimi lekami. Dawniej nie było leku na tę chorobę. Stopniowo traci się władzę w nogach, rękach, słabną mięśnie posturalne i coraz trudniej usiedzieć na wózku. Nigdy nie zapomnę pierwszej poznanej przeze mnie osoby z SMA. Jeździliśmy wtedy samochodem PCK po okolicznych wioskach, aby osobiście zachęcić rodziców dzieci niepełnosprawnych, aby nam zaufali i wysłali dziecko na obóz do Cieciorki. Te pierwsze 2 obozy trwały po 3 tygodnie. Rafał miał wówczas 10 lub 11 lat. Siedział na wózku dość mocno przechylony. Jego nogi były prawie bezwładne, a dłońmi ruszał o tyle, że mógł się podrapać po twa-

rzy, gdy opuścił głowę. Chłopak był lubiany przez wszystkich na obozie, gdyż reagował pogodnie na wszystko i mówił w młodzieżowym slangu. Ćwiczyłam z nim na sali gimnastycznej w Cieciorce przez kilka kolejnych lat. Pojawiały się jeszcze inne osoby z rdzeniowym zanikiem mięśni. Na jednym z ostatnich obozów, na których pracowałam jako fizjoterapeuta, uczestnikami byli dwaj bracia chorzy na SMA. Zakwaterowano ich nie w namiocie, ale w budynku szkoły w Cieciorce wraz z mamą. Mama opiekowała się nimi w dzień i w nocy prawie cały czas, ale miała choć namiastkę wakacji, gdyż chłopcy byli zabierani na zajęcia obozowe. Szkoła i plac obozowy w Cieciorce położone są wśród lasów, gdzie cudowne powietrze wypełnia każde płuca. Co roku na obozie był ktoś z SMA. Minęło kilka lat, ktoś inny zajmował się usprawnianiem dzieci i młodzieży na turnusach w Cieciorce. Będąc na studiach AWF zaczęłam jeździć na obozy Aktywnej Rehabilitacji, ale doszła do mnie wiadomość o śmierci uczestnika z zanikiem mięśni. Zakrztusił się jedzeniem, a na pomoc medyczną trzeba było czekać. Po tamtym tragicznym wydarzeniu, obozy w Cieciorce musiały zostać przeniesione do Radunia, gdzie są odpowiednie warunki. Atmosferę i zasady obozu postanowiono zachować i dalej nazywają się obozy „Cieciorka”. Wszelkie obozy, kolonie, turnusy sanatoryjne są dla takich osób i ich rodzin zwykle długo wyczekiwaną odmianą w trudnej codzienności. Poznałam ostatnio Lucy i jej syna. Gdy dowiedziała się o chorobie synka przeszła przez wszystkie fazy od szoku i niedowierzania, przez rozpacz i głęboki smutek, poprzez bunt i chęć walki o poprawę stanu za wszelką cenę. Po kilku latach walki o sprawność synka, przyglądania się pra-

cy fizjoterapeutów i samodzielnego ćwiczenia chłopca w domu, zrobiła licencjat z fizjoterapii, aby pracować z synem bardziej świadomie. Po kolejnych latach tej niełatwej pracy Lucy owijała nadgarstki i łokcie ochraniaczami takimi jak sportowcy dźwigający ciężary. Chłopiec nie ważył wiele (30 kg w wieku 15 lat), ale Lucy postanowiła go wozić do liceum. Codziennie wynosi syna z samochodu na wózek, przekłada w klasach na łóżko polowe, potem bierze na wózek i przewozi do innej klasy, tam znów kładzie i potem znów na wózek i do toalety i znów do innej klasy. Na lekcjach robi mu notatki. Po wielu zmianach pozycji w kilku salach przenosi syna do samochodu i jadą do domu. W domu znów pielęgnacja, ćwiczenia i nauka. Ojciec i babcia pomagają we wszystkim. Dzięki dyscyplinie domowników, ten ogrom zadań jest możliwy do wykonania. A każdy taki dzień i noc z czujnym nasłuchiowaniem, czy syn prawidłowo oddycha jest cudem trwania w miłości.

MARZENIA GOSI

Nasza koleżanka Gosia często miała dolegliwości nadgarstków i dłoni. Pracowała bardzo dużo w pracy i po pracy. Starała się pomóc sobie korzystając z zabiegów ciepłych w naszym zakładzie rehabilitacji. Niestety przy tak ciężkiej pracy zabiegi te nie pomagają w sposób trwały. Dostała skierowanie na operację cieśni nadgarstka. Po operacji lewej ręki dolegliwości całkowicie ustąpiły. Gosia zaczęła pracować kilka dni po zabiegu. Za kilka miesięcy przyszedł czas na operację prawej ręki. Jed-

nak tym razem ulga w bólu nie nastąpiła tak szybko, w dodatku ręka zaczęła słabnąć. Padło podejrzenie na zespół rowka nerwu łokciowego i zapisano Gosię na kolejną operację. Koleżanka słabła też ogólnie, nie emanowała z niej energia taka, jak do niedawna. Pewnego dnia poczuła objawy jakby zbliżającego się udaru i musiała poddać się badaniom na SOR, a potem na neurologii. Tam padła okrutna diagnoza SLA. Nasza dzielna Gosia pracowała jak długo mogła z osłabionymi dłońmi i jeszcze jeździła do swoich pacjentów. Miała problem z przekręceniem kluczyka w stacyjce. Poprosiła syna o wykonanie czegoś co ułatwi jej ten ruch. Syn zna się na takich sprawach, więc skonstruował odpowiednie pokrętło i mogła jeździć dalej póki miała siły. Potem niechętnie, ale przyjęła los osoby potrzebującej pomocy najbliższych w codziennych czynnościach i rehabilitacji. Starła się ćwiczyć chodzenie póki mogła, mąż prowadził ją po domu biorąc na swoje barki większość ciężaru jej szczupłego ciała. Gosia była zawsze bardzo pracowita, zaradna i chciała być we wszystkim samowystarczalna. Niestety choroba sprawiła, że musiała prosić o pomoc. Gosia bardzo obowiązkowo podchodziła do codziennych ćwiczeń i trzy razy w tygodniu przyjeżdżała do nas, do zakładu rehabilitacji. Obecnie nie jest w stanie przyjeżdżać, to byłoby bardzo trudne, gdyż musi mieć respirator i koncentrator tlenu przy sobie. Konieczne jest także odsysanie treści z tchawicy co jakiś czas. Gosia nie może mówić werbalnie, ale mówi oczami.

Jeśli „tak” zamyka oczy, jeśli „nie” to patrzy w bok. W sprawach trudniejszych pisze na komputerze fiksując wzrok na literach dzięki systemowi C-Eye. O ile nie cierpi z jakiegoś powodu,

stara się do nas uśmiechać. Uśmiecha się do mnie, gdy coś po-
wiem żartobliwie lub pogodnie, uśmiechała się do osób, które ją
zagadywały pracy. Czasem płacze, gdy pojawi się ktoś dawno
niewidziany i wita się z Gosią, dawna jej pacjentka lub pracow-
nik, który się zwolnił. Miewa gorsze dni, gdy cierpienie maluje
się na jej twarzy lub po prostu płacze. Miewa dni lepsze,
gdy jest na niej czający się uśmiech. Cieszą ją spotkania rodzin-
ne, kiedy może słuchać rozmów, żartów i śmiechu bliskich, być
w kręgu ludzkim i nie czuć się jak podopieczna jednej osoby.
Wtedy każdy coś robi i jest łatwiej. Ostatnie dni jest gorzej z ru-
chomością klatki piersiowej, głowa opadła na tyle nisko, że Go-
sia widzi tylko podłogę. Włosy dodatkowo zakrywają widok.
Gorsetu nie chce, bo uwiera i naciska zbyt mocno na żu-
chwę....Podczas ćwiczeń, czułam zmniejszającą się siłę mięśni
i coraz mniejszą współpracę w trakcie stymulowanego oddechu.

W 2024 roku spełniły się dwa wielkie pragnienia Gosi. Od-
był się ślub syna z jego narzeczoną oraz wesele, na którym Go-
sia była i uczestniczyła w ogólnej radości. Córką Gosi urodziła
zdrowe dziecko, dziewczynkę. Gosia miała wiele innych mar-
zeń. Chciała podróżować na emeryturze i na pewno chciała
kontynuować pracę na ile siły pozwolą. Trudny bywa los czło-
wieka, czasem wydaje się zbyt okrutny przekraczający siły ludz-
kie. Podziwu godna jest postawa Gosi z jej zapalem do ćwiczeń
i możliwej aktywności, jej otwartość na ludzi. Podziwu godni są
Ci, którzy są przy Gosi, zwłaszcza jej mąż, dzieci i zawsze wier-
na siostra Bożenka. Bożenkę poznałam w pracy. Bardzo ją polu-
biłam, gdyż jest w niej niespotykana często siła tworzenia Do-
bra wszędzie tam, gdzie możemy je tworzyć, we własnym życiu,
w rodzinie i dla pacjentów.

My, ludzie spoza rodziny Gosi potrafimy tylko współczuć, robić niewiele, niektórzy się modlą, a inni zwyczajnie boją się Losu ...Ja do nich należę... Musiałam zrobić przerwę w naszych spotkaniach z powodu problemów z rękami i większej ilości obowiązków.

WYGNANIE

Gdy w 2014 roku nasz szpital połączono z wojewódzkim i utworzono z tych dwóch placówek jedną spółkę Copernicus Podmiot Leczniczy Sp. z o o powiedziano nam, że prezes będzie przenosił ludzi z Zaspy, bo jest nas za dużo. Baliśmy się, każdy przygotowywał sobie argumenty dla szefa dlaczego nie powinien być przeniesiony, staraliśmy się wzmocnić swoje zalety i kompetencje. Dotychczasowa szefowa była z nami do końca roku, podczas gdy nowy szef już się zapoznawał ze wszystkim co konieczne, aby kierować zakładem rehabilitacji, głównie z elektronicznym systemem Optimed. Ostatniego dnia przed Świątami, w czasie pracowniczego spotkania wigilijnego nowy szef wstał, wyjął karteczkę z koperty i powiedział kilka zdań, które miały zmienić życie czterem osobom. Mówił tonem przeprasającym — nie znam zespołu, więc poprosiłem o pomoc, zostałem zmuszony aby wytypować kilka osób do przeniesienia do szpitala w Gdańsku. Każdy myślał — na pewno nie ja. Usłyszałam swoje imię i nazwisko. Poczułam jakby ciężki kamień ścigał mnie w dół, ugięły się nogi pode mną. Z całej siły przylgnęłam do ściany, aby nie zemdleć. To było dla mnie wielkim

zaskoczeniem. Wszystkie wytypowane osoby usiłowały jeszcze prosić szefa, poddawaliśmy inne rozwiązania. Szef był nieugięty. Powiedział mi, gdzie mam się stawić dnia 2.01.2015 roku. Płakałam z bezsilności.

Miałam tu koleżanki i kolegów, z którymi mogłam rozmawiać na prawie każdy temat, swoje utarte ścieżki, znajomych w szpitalu, pracę na oddziałach, gdzie w pełni realizowałam swoje powołanie, miły odpoczynek na hydroterapii, salę gimnastyczną, na której mogłam zawsze pomagać i rozwijać się zawodowo. Czy to już koniec? — myślałam — przecież mogę już nie wrócić na Zaspę. Szefowa obiecywała, że powalczy o mnie, abym wróciła na swoje stanowisko, gdzie przepracowałam 23 lata. Cóż mogłam poradzić? Zawsze miałam poczucie obowiązku i pokorę wobec losu. Szef każe, trzeba słuchać, albo się zwolnić. Pojechałam tam. Pierwsze dni były bardzo trudne. Ciasne i brudne korytarze remontowane wywoływały w moich oskrzelach alergiczny skurcz. Wszyscy w zakładzie rehabilitacji przychodni przyszpitalnej byli strasznie zaganiani, koordynująca chodziła po piętrach, na których rozmieszczony był zakład i kierowała pracą zespołu. Przydzielono mnie na oddziały, grupa terapeutów oddziałów miała swój pokój socjalny oddalony od zakładu. Męcząca była dla mnie konieczność wysiedzenia w tym pokoju socjalnym pierwszej godziny pracy. Styl pracy na oddziałach w Gdańsku był dla mnie trochę chaotyczny, gdyż wszędzie chodziliśmy grupami i nigdy nie wiedziałam ilu pacjentów dostanę. Stwierdziłam, że nie ma co się denerwować, bo niczego tu nie zmienię i wyluzowałam się. Wyobraziłam sobie, że jestem na praktyce i bardzo chciałam znaleźć pozytywne

strony wydarzeń. W tej całej trudnej sytuacji poznanie Joli było dla mnie jak dar losu.

Jola od razu wydała mi się sympatyczna, ciepła i szczerą w rozmowie ze mną. Nadawałyśmy na tych samych falach. I nadal tak jest po latach. To wspaniała osoba, która wiele przeżyła, a jej sposób postępowania w rodzinie, wśród koleżeństwa i w pracy zawsze jest skierowany na czyjeś dobro, jej interesy przechodzą na dalszy plan. Jola wolала stracić, niż gdyby komuś miała czegoś odmówić. Ludzie to wykorzystują, więc Jola nadal wielu swoich potrzeb nie może realizować. Jest po prostu za dobra, od lat namawiam ją, aby zrobiła coś dla siebie. Udało mi się namówić Jolę na kurs masażu drugiego stopnia kilka lat temu i był to bardzo dobry pomysł. Każdy kurs mobilizuje nasze ukryte możliwości, uczy nowych rzeczy, umacnia poczucie wartości. Jest takie powiedzenie – "Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło." Tak się dzieje często, gdy człowiek bardzo tego dobra pragnie. Nie zawsze jest to możliwe. Po tragicznej śmierci, albo gdy doznajemy lub widzimy przemoc, lub gdy jesteśmy świadkami przestępstwa, nie widzimy dobra. Czasem ktoś przez takie wydarzenia zaczyna walczyć ze złem i pomagać ofiarom. Dobro jest ciche i dyskretne. Dobro to miłość, która niejedno ma imię.

Gdy spotykamy się z Jolą, zwykle w relacji terapeuta – pacjent, nieraz pojawiają się łzy w jej oczach na skutek wspomnień i niespełnionych pragnień.

„Człowiek naraża się na łzy, gdy raz pozwoli się oswoić”[15] –

o tak, panie Antoine de Saint-Exupéry.

MARZENIA PANA JANA

Pana Jana poznałam na sali gimnastycznej. Aż trudno było uwierzyć, że starszy człowiek, zgięty wpół przy chodziku dojeżdża na rehabilitację z domu sam środkami komunikacji miejskiej. Podwieszałam panu nogi na podwieszkach, aby ćwiczył w odciążeniu. Pan był po złamaniu panewki biodra i żeber. Przyczyna upadku i wielu kolejnych są zaburzenia chodu związane z chorobą Parkinsona. Pan miał także zlecone ćwiczenia wzmacniające grzbiet i kręgosłup szyjny. Był zadowolony z rehabilitacji i pod koniec turnusu poprosił mnie o kontakt. Zadzwoił z prośbą o kontynuację zastosowanego leczenia kręgosłupa. Gdy przyszłam do jego domu po raz pierwszy zobaczyłam na drewnianej listwie wiele zdjęć rodzinnych. Zapytałam o nie. Było tam kilka zdjęć żony pana Jana, zdjęcia córek i wnuczek. Pan opowiedział mi w skrócie historię swojego życia.

Ojciec pana Jana zginął na wojnie, gdy on był bardzo mały, także nie pamięta ojca. Odkąd sięga pamięcią, zawsze był z mamą. Mama chorowała na reumatyzm. Nieraz miała takie bóle, że leżała i krzyczała z bólu. Jedynek musiał opiekować się mamą, nakarmić zwierzęta, napalić w piecach, zadbać o porządek w obejściu. Nie było mężczyzny, od którego mógłby się czegoś nauczyć. Mama bardzo kochała syna i nauczyła go wszystkiego, co konieczne w gospodarstwie i w domu. Często powtarzała — musimy dawać sobie radę sami. Rodzina nie pomagała wiele, gdyż po wojnie wszyscy na wsi byli biedni. Pan Jan nie jada mięsa. Może dlatego, że kiedyś ciężko było o nie, a może takie upodobanie. Dodatki owocowe lub warzywne są zależne od pory roku. Myślę, że jadał lepiej będąc z małżeństwem.

Żonę poznał w rodzinnej wsi, był bardzo pracowity, chciał wybudować duży dom w Gdańsku. Jego marzenia się spełniły. Zamieszkali w Oliwie, gdzie zbudował dom według własnego projektu. Dom ten miał „zapracować na siebie” — mówił pan Jan — „i od razu przygotowałem dwa małe mieszkania dla lokatorów. Wynająłem też przybudówkę w ogrodzie. Z zarobionych pieniędzy mogłem robić wykończenia i wyposażenie techniczne. Dom dla wszystkich; dla nas i dla trojga dzieci w przyszłości ze swoimi rodzinami. To było zawsze moim marzeniem” — mówił pan Jan — „duża, zgodna rodzina, której głód nie zagłęda w oczy i nikomu nie brakuje przestrzeni ani pieniędzy na dobre życie.” Przez kilka lat tak było, potem zaczęło się psuć. Najpierw wyjechał syn i bardzo ograniczył kontakty z rodzicami. Potem zachorowała ciężko i zmarła żona.

Po jej śmierci rozwinęła się u pana Jana choroba Parkinsona. Jedna córka upadła na chodniku i doznała urazu kręgosłupa. Od tego czasu nie mogła pracować zawodowo. Druga córka rzadko przyprowadza wnuczki, albo same nie chcą przychodzić, bo — jak pan Jan to określił — pewnie się boją dziadka, że taki pochylony i ciężko go zrozumieć. Zięciowie także nie bywają często, gdyż uważają, że tata wciąż coś wymyśla z remontami, a to jest niepotrzebne. Te prace remontowe podtrzymują kondycję fizyczną pana Jana i zajmują umysł tym, co stanowiło jego aktywność w dobrym czasie. Pan Jan uprawia pomidory w pokoju i na balkonie, robi sobie stoliki na kółkach, przerabia szafki, montuje nowe półki. Wszystko to robi powoli poruszając się na wózku. Ostatnio pan Jan powiedział — Chciałbym się ruszać do końca. To jest takie moje jedno życzenie. Pan Jan korzysta z rehabilitacji domowej na NFZ. Nie poddaje się, pracuje w do-

mu, jeździ na zakupy, przerabia owoce, potyka się i podnosi, bywa w szpitalu potłuczony i wraca do domu. Potem dzwoni do mojego męża z prośbą o „krótką pomoc w robocie”. Zwykle czas tej pomocy wydłuża się, ale mamy świadomość tego, że pan Jan potrzebuje towarzystwa i rozmowy.

AGAWA I MIŁOŚĆ

Po Eli zostały mi agawy. Ela chorowała na raka piersi, miała już przerzuty i nie miała siły się schylać.

Pewnego dnia, gdy wyszłam u niej do ogrodu powiedziała — Iza, możesz sobie zabrać tą agawę. Powiedziałam, że nie wezmę, bo za ciężka, ale te młode pędy z kłaczy posadzę u siebie.

Wyrośli dorodne.

Nie mogę pogodzić się z tym, że tak szybko odeszła od nas dziewczyna o zaraźliwie radosnym śmiechu, ciesząca się wszystkim, dbająca o swoje zdrowie. Osoba, która całe lata poświęciła dla chorych rodziców, których bardzo kochała. Potem opiekowała się mamą wraz ze swoją siostrą.

Gdy została sama w domu przelała całą swą dobroć i uczucia na obecne w nim psy i koty. Zwierzęta te wymagały wielu wizyt u weterynarza i Ela nie żałowała sił i swej skromnej renty na leczenie ich. Odwiedzałam Elę jak tylko przechodziłam obok jej domu. Przynosiłam jej książki z bajkami, bo nie chciała innych. Mówiła — „Lubię bajki, bo tam się wszystko dobrze kończy.” Zmieniły się nasze ciała przez 30 lat, ale duchem wciąż byłyśmy takie same chichotki jak wtedy, gdy mając po 20 lat

wracałyśmy pieszo z dyskotek na ostatni autobus z klubów studenckich; z Wysepki albo z Tropsa. Bywało, że dobiegałyśmy boso ze szpilek w ręce. Ostatnie tygodnie spędziła u siostry, która się Nią opiekowała do ostatniego dnia. Jej śmierć pogrążyła nas w wielkim smutku, Wierzimy lub pragniemy wierzyć, że spełni się obietnica Jezusa, którą dał człowiekowi potępionemu przez wszystkich — „Zaprawdę powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.” Lk 23, 43 [1]... Eluniu, czy tam się spotkamy?

Nigdy nie zapomnę twojej roześmianej twarzy, twojego pogodnego głosu. Wszystko przemija i zmienia swoją postać, ale jedno jest wieczne — Dobro.

Tekst Desiderata pomaga nam wyjść z cienia smutku —

„Nie bądź cyniczny wobec miłości, albowiem w obliczu wszelkiej oschłości i rozczarowań jest ona wieczna jak trawa.(...) Z całym swym zakłamaniem, znojem i rozwianymi marzeniami ciągle jeszcze ten świat jest piękny.” [16]



fot 9

PODZIĘKOWANIA

To dzięki naszej koleżance Gosi postanowiłam napisać o tym, co w duszy gra, spisać wspomnienia, które wędrowały po zakrętach pamięci.

Patrząc na Gosię uświadomiłam sobie, jak krucha jest materia naszego ciała i że każdego dnia może stać się coś, co odbierze nam zdolność pisanie lub mowy.

Dziękuję wszystkim, którzy zgodzili się, abym napisała o nich.

Dziękuję mojej Mamie, która wspierała mnie w idei pisanie oraz naszym córkom, które cierpliwie znosiły moje pytania dotyczące programów, dziękuję Oli za udostępnione fotografie. Dziękuję cioci Marii za udostępnienie swoich wierszy i wujkowi Markowi za bardzo owocną krytykę.

Dziękuję pisarce pani Ewie Ornackiej za pozytywną opinię oraz polonistce pani Kazimierze Dybikowskiej za korektę stylistyczną oraz pani Dorocie Ligęza, wiceprezes OSMN za ocenę poprawności historycznej rozdziału „Wybrany”.

Dziękuję wszystkim za przeczytanie, ocenę i słowa wsparcia.

BIBLIOGRAFIA

1. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,
Biblia Tysiąclecia
wyd III poprawione. Wydawnictwo Pallottinum 1988

Ps 23,4 str. 587

Hb 23 — 10,11 str. 554

Mt 8, 8—9

1 Kor 13,13

Łk 23, 43

2. jp2online.pl, Homilia z liturgii słowa do młodzieży
na Westerplatte
Materiały ze zbioru Dokumenty papieskie.

3. Sergiusz Riabinin, „Notatnik” 1968—1973 str. 21

4. „Fizjoterapia” pod redakcją Mariana Weissa i Andrzeja
Zembatego — wyd PZWL 1983

5. „Przystosowanie do życia po urazie rdzenia kręgowego
efektem rehabilitacji oraz stanu psychofizycznego i sytuacji

społecznej”

praca magisterska, Izabela Jabłońska,
kierownik Dr Maria Jaruga Poznań 1994

6. tekstowo.pl, T’Pau, „China in your hand”

7. niepełnosprawni.pl – Mirosław Piesak Człowiekiem bez barier 2021!

Za nami gala w Zamku Królewskim – Magdalena Gajda 3.12.2021

8. „Moje listy” – Maria Bukowska wyd. 2015

„Jak niebo o poranku” – Maria Eleonora Bukowska
wyd. 2017

9. tekstowo.pl, Golden Life- „24.11.94”

10. tekstowo.pl, Chłopcy z Placu Broni, „Kocham wolność”

11. zlotajesien.org – Sakramenty chorych. Obrzędy i duszpasterstwo.

Księgarnia św. Jacka, Katowice 19

12. tekstowo.pl – „Kiedy znów zakwitną białe bzy”

13. poezja.org – „Zakochani” Wisława Szymborska

14. sopot.naszemiasto.pl „Eleonora Rudnik wciąż pomaga

potrzebującym i myśli już o spotkaniu wigilijnym”
Kamila Grzenkowska, 15 listopada 2013

15. „Mały książę” – Antoine de Saint-Exupéry

16. desiderata.pl „Desiderata” – Max Ehrmann

Fotografie Aleksandry i Izy Paszko;

Fotografia na okładce - droga nad stawem, Osowa

fot 1 – widok w Garczu

fot 2 – pochylone drzewo w Garczu

fot 3 – obraz namalowany przez dziecko

fot 4 – zachód słońca na plaży w Łebie

fot 5 – Chrystus fraszobliwy-rzeźba, Garcz

fot 6 – las, Trójmiejski Park Krajobrazowy

fot 7 – widok w Garczu, brama ogrodu

fot 8 – niebo Warszawa Mokotów

fot 9 – droga do Doliny Kościeliskiej

Iza Paszko, córka Zofii i Janusza Jabłońskich, spędziła dzieciństwo w Gdyni. Mieszka i pracuje jako fizjoterapeuta w Gdańsku.

To zbiór opowiadań o tematyce związanej z życiem prywatnym i zawodowym autorki. Jest tu uśmiech i radość a także smutek z refleksją o przemijaniu, o przechodzeniu przez cień cierpienia i śmierci w oparciu o wybrane dzieła literatury.

Rideró

Wydaj książkę
profesjonalnie!